Numer 9. Nalež. poczt. opł. gotówką. Dnia 28 Lutego 1932



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Cukier krzepi!!!

Po wszech gazetach i stacyj ścianach
Reklama słodka nasze oczy czepi,
W przeróżny sposób, głupio malowana,
Że cukier bardzo ludzi krzepi.
— — — — — — — — — — — —
Wie o tem każda nasza gospodyni,
Lecz dla niej słodki cukier w cenie gorzkiej
Bajecznie tani dla angielskich świni,
Ale nie dla nas biednych ludzi z Polski.
Że cukier krzepi reklamy nam nie trza,
Niech nam go dadzą taniej o połowę,
Skonsumujemy sto kilo na głowę,
Że aż zabraknie w Anglji dla wieprza.

Odpoczynek niedzielny.

Pewien pan spotkał w tramwaju żebraka, któremu dał większą jałmużnę.

— Cóż to za cud? — powiada — dwa dni temu byliście ślepi, a dziś już widzicie?

— Dziś jest niedziela — odpowiada dziad — więc nie pracuję.

Sumienny lekarz.

— Dentysta musiał mi wyrwać dwa zęby, zamiast jednego, który mnie bolał.

— A to dlaczego?

— Bo nie mógł wydać mi reszty.

Gapa we wsi.

— Powiedz mi chłopcze, gdzie mieszka Kuba Juchas?

— Kole Józka Gajdy.

— No dobrze, ale gdzie mieszka Józef Gajda?

— Adyć kole Kuby Kozika.

— No, teraz mi powiedz, gdzie obaj mieszkają.



Żandarm.

— Dlaczego pan nie zwrócił natychmiast tego pugilaresu, który pan znalazł wczoraj na ulicy?

— A na drugi dzień?

— No, było już ciemno.

— Już tam nic nie było w środku.

Niezrozumiała.

— Kasiu, czy termometr idzie do góry?

— Nie może... Gwóźdź mu przeszkadza.

On to wie.

— Panie dyrektorze, jedna z telefonistek ogłuchła, co z nią zrobimy?

— Dać ją za okno z reklamacjami.

Śpiew i muzyka.

Mimo różnych niedomogów życiowych, człowiek chętnie słucha śpiewu lub muzyki, a wielu młodych pragnie uczestniczyć w wykonaniu słyszanych melodyj. To też wielu ludzi obdarzonych słuchem muzycznym, rwie się do nauki gry na instrumencie najwięcej mu odpowiadającym. Niestety często z braku czy to sposobności czy też funduszów, ograniczyć się muszą do naśladowania melodyj zasłyszanych, gdyż nie mieli i nie mają możności poznania sztuki nut, — niektórzy znowu posiadający zapomniane początki, — znajdują się w tem samem co i pierwsi położeniu.

Zwrócić wypada uwagę na podręcznik wydany przez jednego z amatorów muzycznych, służący jako samouk do nauki gry na skrzypcach i to bez pomocy nauczyciela, obejmujący praktyczne ćwiczenia i wyczerpujące objaśnienia wraz z ilustracją t. zw. palcówek a z zestawienia klucza wiolinowego z kluczem basowym i altowym, znajdującego się przy końcu samouka, każdy obeznany z zastosowaniem nut na skrzypcach, potrafi się zorjentować ze zastosowaniem ich na dalszych instrumentach smyczkowych, t. j. na altówce, basetli i basie.

Przystępna cena samouka 6 zł. udostępnia każdemu możność nauczenia się gry na wymienionych instrumentach.

Wysyła za pobraniem pocztowem wydawca Piotr Woltal w Bochni.

Numer 9. Rok XV. Kraków, dnia 28 lutego 1932.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1932: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

O wychowaniu młodzieży żeńskiej.

Dwa są gniazda, w których dzieci obecnie się wychowują: dom i szkoła, wychowanie jednak i wykształcenie pozostawia u nas dużo do życzenia. Postanowiłem dlatego na ten temat skreślić słów parę.

Dążnością jest wśród młodzieży kształcącej się, aby tylko po ukończeniu nauk dostać się do urzędu. Umysł swój napełnia młodzież jedynie teorją, nie uwzględniając strony praktycznej, nie oglądając się na jutro, gdyż żyje nadzieją, że skoro dostanie zajęcie w urzędzie, będzie przecież pensyjka. Szkoły uczą jedynie uczyć się, dają wskazówki, od samej zaś młodzieży zależy wyrobienie w sobie poczucia obowiązku, które w dalszem życiu stanowi najważniejszą cząstkę życia. Dużo zależy od kierunku szkół, aby młodzież widziała w nich namacalnie niejako swój projekt, oparty na stronie samodzielnej, realnej, pozytywnej, aby kształciła swe siły do samodzielnej egzystencji.

Zwiększone olbrzymio nauki i klasy szkół żeńskich powodują wydelikacenie i wyćwiczenie organizmu. Od 7-go nawet 6-go do 18-go roku życia kształcą się nasze panny w domu, w gimnazjach lub na pensjach. Panienka chodzi do szkoły, obrabia zadane lekcje, a prócz tego uczy się grać na fortepjanie lub skrzypcach, rysuje, maluje, słowem zaczyna kształcić talenty, których częstokroć nie posiada.

Dawniej nasze prababki wychowywały córki tylko w rodzinie i dla rodziny. Panny zajmowały się szyciem, gotowaniem, wogóle robotami kobiecemi. Później nastała jednak epoka romantyzmu. W czasach jej panowania rzuciły panny poziome dla siebie zajęcie a poczęły wzdychać do nieznanych kras wiecznej szczęśliwości, której określić nie umiały, jak również określić nie umiały swych marzeń i ideałów, nie zasługujących nawet na nazwę ideału.

Dziś naszym pannom gospodarstwo i roboty ręczne też nie bardzo do smaku, za to potrafią mówić dużo i głośno o wszystkiem z taką pewnością siebie, jakby posiadały już fachowe wykształcenie w rozmaitych kierunkach. Dobrą jest wiedza, lecz niech panny wiedzy tej tak bardzo nie łakną, a przy zajęciach domowych i pracy fizycznej będą zdrowsze i więcej z siebie zadowolone. Niech zmniejszą swe wymagania, swe pretensje, a będą przystępniejsze i staną się znów tymi aniołami ziemskimi. Kobiecie nie potrzeba zbyt wielkiego rozumu, lecz rozsądku, którego nabywa się w zaciszu domowem.

Dziś panny patrzą na wszystko z góry, krytycznie, dlatego też ilość małżeństw znacznie się zmniejszyła. Małżeństwa zawierane są dziś po większej części pomiędzy osobami w wieku starszym, panna bowiem musi wyczekać, dopóki mężczyzna nie otrzyma stanowiska. A przecież małżeństwa zawarte w młodym wieku mają swą właściwą wartość, gdy nerwy i siły są ruchliwsze. A co mówić o dzisiejszych ubiorach?! Ubrać się trzeba, ale nie dziwacznie, — dziś tak, jutro inaczej. Co w jednym roku uchodzi za modne, to na drugi rzuca się w kąt.

Te nieszczęśliwe mody są upadkiem naszym ekonomicznym, bo one każą fircykować się, a ręce trzymać w rękawiczkach.

A przecież mężczyźni cenią najwięcej u niewiast skromność i naturalność i wolą, ażeby u nich było więcej w kieszeni, jak na kieszeni. Mężczyzna mało zwraca uwagi na suknię, lecz chętniej patrzy na oczka i buzię. Stroje i mody nas gubią, tak po miastach, a jeszcze więcej po wsiach i są powodem naszych wielkich wydatków i długów. Niejedna mamusia zadłużona po uszy za modne suknie narzeka

w dzisiejszych ciężkich czasach, bo nie jest w stanie długu tego opłacić i musi płacić lichwiarskie procenta i na weksle tracić. Przecież pamiętamy niedawne jeszcze czasy, gdy moda nie wdarła się na wieś, i gdy dziewczęta ubierały się skromnie. Mniej było wydatków i zamożność była po wsiach widoczna. — Dziś dziewczyna ze wsi idzie na służbę do miasta. Posłuży pół roku, rok i wraca następnie dama miastowa do wsi: w kapeluszu, futrach, lakierach, jedwabiach itd. Widząc to dziewczęta, mówią „a cóż ja to gorsza od niej!" i idzie znowu taka dziewczyna do sklepu i bierze na kredyt jeszcze modniejsze kawałki. To musi ustać, bo popadniemy w skrajną nędzę. Stać po miastach na stroje córki bogatych kupców i zamożnych mieszczan — niech się ubierają i mody przestrzegają, lecz uboga wieś niech się nie szarpie, bo im nie podoła. A błogosławieństwem i szczęściem udarowani są ci, co potrafią na małem przestawać. A kto na małem przestaje — temu Pan Bóg da więcej. *Piotr Wenc.*

MARJA WALLER.

„Stłumione echa".

Powieść historyczna. (Przedruk wzbroniony).

XII.

Gdy nadszedł wieczór, gromada ludzi cisnęła się do świetlicy starego Skryby. Każdy rad był usłyszeć coś nowego, każdy ciekaw był, co powie stary lirnik. Wkońcu świetlica okazała się zamała. Ponieważ zaś wieczór był piękny, postanowiono przenieść się na tyły dworzyszcza, gdzie i miejsca było więcej, a od lasu szły wonie rozkoszne. Przeniesiono więc troskliwie chorego, który zainteresował się nieco na chwilę bodaj owem niezwykłem zgromadzeniem.

Stary Luboń odpowiadał chętnie na liczne pytania zgromadzonych. Rzucał odpowiedzi wesołe, dowcipne, to też radość jakaś opanowała zafrasowane umysły. Nastrój stawał się życzliwy, przyjacielski.

Wreszcie wziął lirę do ręki. Jakby na znak jakiś, zapanowała cisza, a Luboń potoczył oczyma po głowach, jakby liczył słuchaczy, którzy zwartem kołem otoczyli go, w słuch się zamieniając. Wkońcu oczy starego zatrzymały się na jasnych włosach kapłana, który leżał zapatrzony gdzieś przed siebie...

I popłynęła łagodna, słodka melodja, w takt której starczy drżący nieco głos śpiewał, a raczej mówił śpiewnie.

„Przed wielu laty, żył pan bogaty, wielmoża w pełni sił, szczęście mu drużką, zdrowie mu służką, a książęcia druhem był! Dwie córki hoże, promyki Boże, słodkie jak złoty miód, różowe, białe, w uśmiechach całe; radości było wbród! Czasem myśl smutna, kuma wierutna, na ucho szepcze tfu! bo jedynaka chwała, junaka, nieba zabrały mu! Ale wnet troska odpadła gorzka, z uśmiechem pięknych cór! I znów wesoło. I tak wokoło, jak słońca blask z za chmur. Starsza jak łania, młódki dogania, już trutni ciągnie rój; i ten stateczny, i tamten grzeczny, ach! któryż będzie mój? Młodsza rozkoszna, najrańsza wiosna, sześć latek patrzy na świat, słowiczem pieniem, radosnem tchnieniem trzepoce się, jak ptak! Wesoła, śmiała, w uśmiechach cała; w oczkach figlarność drga, Bożna kochana, Myszką nazwana, słodka dzieweczka ta! Lecz nie sądzono, nikomu pono, by szczęśliw na świecie był! Wróg tuż, wielmożo, rzuć żonkę hożą, idź! oddaj krew z swych żył! Płacz męża żono! bo go już pono nie ujrzysz nigdy nie... Kruki i wrony, dzioby i szpony, pogrzebem zajmą się! Poszedł i zginął! Żal z łzami spłynął, smutek ukoi czas... a lata płyną, czas ci dziewczyno i raźniej będzie wraz! Wesele Zorzy, córki wielmoży, świeciła cała brać. Mieszko jej swatem, mieni się bratem, książę za ojca miał stać! Któryż dorodny, ręki jej godny, serce jej zdobył i wdzięk? To Jaksa młody, słynny z urody, lecz z dzielnej sławniejszy ręki. Matce z pociechą, pod smutną strzechą, Bożenka luba została; smutek cieszyła, żal łagodziła, gdy rok dwunasty miała".

Tu urwał starzec. Melodja zmąciła się, a splątane tony jękliwym zgrzytem wpadły w ucho zasłuchanej gromady. Młody kapłan zawisł oczyma na ustach starego, zdając się zdejmować z nich słowa, aby je ułożyć starannie na dnie zwątpiałego krwawiącego serca. Luboń nanizał splątane tony niby paciorki; wiążąc je w melodję dziką jakąś, w której drżały jękliwe okrzyki, bolesne wołania i echa płaczliwe, smętne... A na tle tem, napół śpiewna mowa starca, pełna łez i goryczy...

„I znów przyszła noc krwawa, krwią spłynęła murawa i pożogą rozgorzały niebiosy; zgrzyt toporów, szczęk mieczy, ani widno odsieczy — coraz wyżej wrastały ciał stosy! Wróg żądzą zaślepiony, krwawe wszczynał zagony, w trzewia szpony zatapiał nam chciwe! szarpał dziko i deptał i krew bezbronnych chłeptał, z piersi serca wydzierał nam żywe! Noc się kończy. Już dnieje — macierz z bólu szaleje, bo Bożenka zginęła bez wieści! Ten jej mękę odczuje, ten rozpacz odmaluje, kto sam tonął w bezmiernej boleści! I znów słońce świeciło i oblicza nie skryło, krwawe zgliszcza promienie zalały; nie płakały niebiosy, gdy niewiasty swe włosy — w dzikim bólu, w rozpaczy szarpały! W popiołów żarne łono, smukłe świerki kładziono, na stos dla tych, co legli w dni kwiecie! W ogień za mężem żona, szła rozpaczą szalona, szła sierotka i macierz i dziecię! Zemsta piersi szarpała, litość z serca wygnała; drżały dłonie w bezsilnej wściekłości; gdy znów wieść się roznosi, że oręż wroga głosi hasło wielkiej, nadludzkiej miłości! Kto rzuci bogi stare, nową przyjmując wiarę, krzyżem czoła gontyny ozdobi, wolen będzie od wojny, zorze zagon spokojny (słychać — książe do chrztu się sposobi!) Macierz Bożny i Skryby, Leliwy i Kutyby, gród rzucają na życia ostatek; dla nich niema zbratania, bo krew drogę przesłania i przekleństwa wdów, matek i dzieci!... A tu książę się waha, wiara nowa go stracha, pocóż było się spieszyć z ucieczką? I ubiegło zim wiele, zanim przyszło wesele, z piękną króla czeskiego dzieweczką! A Bożenkę tymczasem, uciekającą lasem, pochwycono z piastunką w niewolę; ale dobre jej losy, zgotowały niebiosy: i bogactwo i szczęście i dolę. Pieszczona i kochana, staraniem otaczana, Hanna panią na grodzie ostała, bo gdy wiarę zmieniła — by panu żoną była, Hanny imię na chrzcie otrzymała! Już synaczek, wielmożę, na ojców rośnie dworze, pociech siła przynosząc, radości, a matula kwiecie, na wschód zwracając dziecię, uczy wielkiej dla Polan miłości! Patrz tam, synku kochany, gdzie żyta bujne łany, łąki wonnym kobiercem zasłane,

żyje Polan gromada, a nienawiść i zdrada są im obce, dalekie, nieznane...“

I znów urwał lirnik, a gromada siedziała bez ruchu, zasłuchana w opowiadanie, dziwne, a niezwykłe...

Kapłan uniósł się na łokciu, wpijając gorejące źrenice w twarz starego: do czego dąży? dlaczego drapie świeże bolesne rany? kto pozwolił mu w cudze serce zaglądać i skąd ta moc odczucia u tego starca bezsilnego prawie? Usta drżały chęcią pytań gorączkowych, a starzec jakby się domyślał czegoś... bo szybko wydobył melodję smętną i czułą, której zawtórował głos pełniejszy teraz, lecz łzawy:

„W zapadłych kniejach, kędy wilcy wyją, Skryba osadę dla swoich zakłada, w pracy, ubóstwie, dumne rody żyją; hardo oporna gromada! I lata płyną, a nienawiści rana płonie, jak ongi tam w grodzie, rana wciąż krwawi świeżo rozdrapana, ni czas ją leczy, ni ludzie! Że starzy cierpią, nie wielki dziw pono! lecz młodzi ginąć, ni cierpieć nie radzi! Stańko ucieczkę obmyśla szaloną, pomoc dla głodnych sprowadzi! Mieszko myśliwską rozpoczął zabawę. Gdy w dzika oszczepem godzi, koń się potyka, już wali się w trawę: ostatnia chwila nadchodzi! Co za mąż dzielny już na pomoc bieży? któż księcia w swoją wziął pieczę? Chwila — odyniec już bez ducha leży! Ktoś ty? Jam Stańko — rzecze. I dziwne, dawne przypomina mary, ów Stańko mąż dzielny i prawy; pan słucha pilnie, nie dając mu wiary, lecz coraz więcej ciekawy! Wreszcie nie strzymał. Wysłańców wysyła, każąc im jechać do Triglowskiej góry — i już historja by się ukończyła, gdy nowe znowu zebrały się chmury! Kapłan, co krzewić Chrystusową wiarę szedł, niosąc krzyż za orędzie, trzykroć raniony! — Chociaż prawo stare mówi: gość świętym wam będzie! Nie koniec jeszcze! bo na świeże rany, miast ziół kojących jadu nałożono! Z śmiercią w zawody syn Hanny — kochany szedł, zgonu już bliski — pono! Kłamałaś matko! nieprawość tu rządzi! nienawiść chlebem codziennym, a sprawiedliwość po omacku błądzi i lud twój nędzny i ciemny! I ta nienawiść, która w dłonie stare, dla zemsty jadu krużę włożyła, miłość gorącą i żywą urazę w ciebie i Polan — zabiła“.

Tu umilkł starzec, zagłuszony wrzawą głosów. Wszyscy cisnęli się do kapłana, który zmożony bólem trząsł się cały od łkań... Siły wyczerpały się — przeżyte to raz jeszcze świeże cierpienie, skurczyły we dwoje nędzną postać, wstrząsaną skurczem spazmatycznego płaczu...

Przez zwartą gromadę przeciskała się druga postać, równie jak pierwsza nędzna i znękana — bólem nad siły...

Jak zmięty łachman, przylegała do wyschłych kolan wnuka, zapamiętała się w cierpieniu, tracąc czucie w poczuciu własnej winy...

— Precz stąd morderczyni! Nie każ swym oddechem powietrza czystych! Precz!

Pochwycił ją za ramiona Luboń, starając się oderwać zwiędły kształt ludzki, czepiający się z jękiem kolan wnuka.

Gromada wtórowała mu głuchym pomrukiem.

Wtedy stało się coś nadzwyczajnego. Bezsilny, głuchy i apatyczny przed chwilą kapłan, zerwał się, chwytając starą w ramiona.

— Zostawcie ją! prawa nie macie! Nie widzicie, że cierpi? Karać może tylko Bóg! A i On jej przebaczy... jako i ja... przebaczam...

Obecni odstąpili z podziwem, a w oczach Lubonia błysnęła cicha radość! Obudził zamarłą w bezmiernem cierpieniu duszę, dokonał, czego pragnął. Jedna tylko Sława odczuła jego grę, bo gorąco jej usta przychyliły się do rąk starego...

Długo w noc płonęło łuczywo w świetlicy starego dworzyszcza. Na łożu spoczywał kapłan z rozjaśnioną twarzą i słuchał opowiadania starej babki. I poznał całą mroczność tej duszy silnej i po swojemu — prawej. Wczuł się w jej myśli, patrzał jej oczyma na straszne sceny nocy krwawej, które opowiadała mu wpatrzona w obraz, nigdy niezatarty... Zrozumiał, że żal za Bożenką utraconą był tylko kroplą która przepełniła miarę... Widzieć to i kochać swych ciemiężycieli, to było nad jej siły!

Tkliwa, wrażliwa dusza kapłana wzdrygnęła się, skurczyła w poczuciu winy... rodaków! Nie! nie mógłby sądzić tej istoty! Bałby się, aby sądem swym nie narazić się Panu swemu... Tylko Bóg miał prawo sądu nad tą duszą, która cierpiała bezmiernie za siebie i innych...

— Zapomnij, babko! Zapomnij o tem, co przeszło i żyj z nami dla nas! Przyszłość przyniesie miłość i zgodę!...

Stara pokręciła głową. Mimo radości, wynikłej ze zrozumienia wzajemnego, mimo przeświadczenia, że córka jej żyje, szczęśliwa, wrzała w duszy jej burza...

— Dlaczego, babko? Dlaczego?

— Nie wierzę! Nie wierzę w miłość i zgodę, na co inne patrzałam. Wszystko w nich podstęp i zdrada i wiara ich, obłuda!

— Babko! i jam Niemiec! I jam katolik!

— Wiem o tem i dlategoć mówię, abyś zrozumiał nas i was! Abyś wiedział, jaka przepaść między nami... Córa moja pięknością swą ojczyca twego zdobyła! A blizcy po kątach sarkają, że obcą im panią jest i nienawidzą! A i rodzic twój westchnął może nieraz, że mu żona całkiem nie rycerskie pacholę wychowała!

Kapłan spuścił głowę w milczeniu. Wobec tej żelaznej i upartej logiki daremne wszelkie dowodzenie. Po chwili podjął walkę na nowo.

— Może i prawdę rzekliście, babko! Ale o tem pamiętajcie, że wszędzie są źli i dobrzy! Dobrzy budować będą mosty zgody i pojednania, zasypią przepaść i przyjdą z wiarą i miłością do was! Chrystus ukochał wszystkich ludzi! Więc wiara jego złączy wszystkich w jedną rodzinę!

— Chrystus?! Toż Jego właśni bracia nie zrozumieli i zamordowali! A ty chcesz, aby obcy lepsi byli?

— Zamordowali!... ale nie wszyscy! Niezrozumieli Go — źli. Inni pokochali Go nad życie! Dali zań ostatnią kroplę krwi, ponieśli śmierć dla Prawdy, bo wierzyli, że zwycięży!

— Szczęśliwyś, wnuku, ale powinieneś umrzeć młodo! — zauważyła ironicznie stara.

— Dlaczego?

— Aby z latami wiary tej nie stracić! Słuchaj wnuku: To, co ty złem nazywasz, krzepkie jest i silne, niby dąb potężny! Dobro zaś, to te kwiaty wonne, ostróżkami zwane, które w kupalną noc zakwitają, upojne wonie niosąc, że ino lec, a zamrzeć! Krótkie ono jednak, to wonne ich panowanie...

— A jednak, babko, one kwiatuszki wonne od owego dębu silniejsze! Nie patrzcie zdziwieni, bo tak ci jest, jakom wam rzekł! Dąb burza złamie, słońce wysuszy, mróz zwarzy, robak stoczy, a kwiatuszki one liche siłę olbrzymią mają! W sercu matki żywi-

cielki ochronę znajdą, wszystko przetrwają i latem oczy i duszę uradują, dając chwilę bodaj zapomnienia, ziemskiem szczęściem zwaną!

Stara umilkła nieprzejednana. Uparta, jak każdy fanatyk, nie znalazła argumentów dla dowodzeń wnuka, nie czuła się jednak zwyciężona! Kapłan zaś, nie przeciągał rozmowy, postanawiając powrócić do niej, choćby jutro.

. . . .

— Babko, rzeknijcie mi, co stało się ze siostrą macierzy mojej, Zorzą?

— Umarła. Opowiem ci jutro. Dziś czas już spocząć.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Głód.

(Bajka).

Setki wieków temu, a może i tysiące, bogaty chłop wiejski, idąc z miasta przez wielki bór, zobaczył tamże na zielonym mchu maleńkiego chłopaczka, który płakał rzewnie. Zafrasował się tedy bardzo i rozżalił na ten widok, a że w domu u siebie, choć miał żonę, nie doczekał się żadnego swego dziecięcia, przeto ulitował się nad płaczącym malcem i wziąwszy go na ręce, zaniósł do swojej chaty. Tu opowiedział żonie o wszystkiem, a ona wielce upodobała sobie małego znajdka, nakarmiła go czem mogła, ubrała starannie w nowy strój, poczem oboje z mężem uradzili, że tego chłopca będą wychowywać u siebie, jak własnego syna.

Tak też uczynili. Znalezione pacholę szanowali, jeść dawali mu dobrze, a do roboty ciężkiej za młodu nie pędzili. Więc malec rósł prędko, jak na drożdżach, tak, iż mając ośmnaście lat życia, stał się parobkiem wielkim i silnym, jakby niedźwiedź, że i najmocniejszych rówieśników wiejskich nie bał się wcale. To też przybrani jego rodzice mieli zeń niemałą pomoc w swej żmudnej chłopskiej pracy. Jednak miał on jedną, brzydką wadę, której w żaden sposób nie mógł się pozbyć. Był setnym obżartuchem. Jadł dużo wszystkiego bez miary, a prawie nigdy nie czuł się sytym. Gdy tylko przez pół dnia bywał bez jedzenia — zaraz mu w brzuchu coś grubym głosem wołało: głód! głód! głód!!! Więc skoro usłyszał owo wołanie w sobie — jadł, co jeno mógł i ile jego nienasycony żołądek mógł zmieścić...

Ten tajemniczy głos w jego beczkowatym brzuchu, usłyszała raz przybrana matka i nuż się dziwić temu:

— Co w tobie, chłopok, coś tak często woło: — głód! głód!... Słuchoj-no — prawiła dalej — mój stary, jak już wisz, znaloz cie pajacem hań w tem lesie, a nie wimy, skądeś się tam wzion, jak sie nazywosz, a i ty też nie jesteś świadom tego, dlotego od głosu, co w twoim brzuchu nieroz sie odzywo, od dziś dnia będziemy cie nazywać „Głód!" Zgodzosz sie na to? — zapytała jeszcze swego wychowanka, który z radością przyjął to nowe dla siebie miano.

Tak też się stało. I przybrani rodzice i wszyscy ludzie w tej okolicy, nie mianowali go inaczej, tylko Głodem. Zresztą i on sam nie protestował przeciw temu. Dumny zaś był, gdy cała okolica mówiła o nim, że „chłop z niego jak smok!" Tę jego niezwykłą siłę pragnęli całkiem poznać jego rówieśnicy-parobki.

— Słuchaj, bracie Głodzie — mówili mu — chwalisz się, że niczego się nie boisz, nawet niedźwiedzia starego i stu wilków, że wszystko zwyciężysz, ale — jesteśmy pewni, — że śmierci nie pokonasz!

— Pokonam ją, choćby największą kosę miała — nie boję się jej! — odpowiadał im trochę obrażony.

Akurat w tej wsi chorowała ciężko i długo bardzo stara baba; spodziewano się zatem, że do niej wkrótce przyjdzie śmierć. Wiedział o tem również i Głód, więc razem z kolegami wybrał się któregoś północka i z wielką pałą dębową w potężnej swej prawicy, zaczajony przy drzwiach chorej śmiertelnie baby, oczekiwał nadejścia śmierci, by w obecności kamratów, dowiedzieć się, kto silniejszy: on, czy ona?

Jakoż długo nie czekał, bo wnet wielka koścista śmierć zjawiła się przed nim z kosą ogromną na ramieniu. (Wtenczas jego koledzy ukryci za najbliższym płotem chróścianym, wytrzeszczonemi od strachu oczyma patrzyli, co to będzie?).

— Co tu chcesz, kostucho — he?! — zawołał, stojąc w drzwiach domu chorej.

— Puść mię! idę do chorej kobiety w tej chałupie, aby ją zabić.

— Nie puszczę cię! Niech baba żyje dalej! Jak chcesz, to nuże do mnie z kosą, bo pragnę wiedzieć, czyś mocna?! — odrzekł ostro i zamierzył się na nią swoją dębową gromnicą.

To ogromnie rozgniewało zniecierpliwioną bardzo śmierć. Odskoczyła przeto nieco od niego i ciach! kosą do jego wielkiej głowy. Lecz on schylił się szybko, unikając ciosu, poczem z ogromną siłą uderzył swoją pałą w jej kosę, która z brzękiem rozpadła się na drobne kawałki. Pozostało jeszcze śmierci długie stylisko w kościstej ręce, ale i to rozzłoszczony Głód wyrwał jej i na drzazgi połamał. Więc pokonana i zawstydzona swoją niemocą, piszcząc płaczliwie: hi-u, hi-u, hi-u! musiała poniechać swej ofiary i lecieć do Pana Boga po nową silniejszą kosę. A baba ona wyzdrowiała i żyła długo.

Zaś owi parobcy, własnemi oczyma ujrzawszy zwycięstwo Głodu nad niezdarną śmiercią, tem więcej go odtąd lubili i cenili. Natomiast śmierć wcale nigdy nie szukała na niego odwetu, z obawy, aby powtórnie nie utracić nowej kosy.

A gdy umarli przybrani rodzice jego, on przejadł cały odziedziczony po nich majątek, a stawszy się przez to żebrakiem, do dziś dnia wędruje po świecie, szukając jedzenia, którego nigdy do syta nie ma i pewnie miał nie będzie. Kiedy w pustym swym żołądku usłyszy znany sobie głos: głód! głód! głód!!! wtedy prosi Pana Boga, aby przysłał śmierć po niego, gdyż znudził mu się już niesyty żywot.

Lecz Stwórca poważnie mu odpowiada:

— Nie! Strzaskałbyś jej drugą kosę, którą jej dałem już ostatnią... Włócz się zatem po ziemi do końca świata, a miłosierni ludzie zawsze cię czemś pożywią, że nie zginiesz, choć siłę będziesz miał pajęczą...

Więc biedny, smutny, wieczny Głód tuła się po ziemskim padole. *Jan Matuszkiewicz.*

Pan Jezus na uczcie u celnika.



W numerze 8 „Roli“ podaliśmy obrazek, przedstawiający powitanie Pana Jezusa przez celnika przed jego domem i chwilę zapraszania przez tegoż celnika, aby Pan Jezus wstąpił w jego progi.

Pan Jezus zgodził się na to, aby zaznaczyć, że nie pogardza nawet największym grzesznikiem, jeżeli ten zwraca się do Boga i pragnie Go uczcić. Dziś podajemy drugi obrazek, przedstawiający chwilę, kiedy Pan Jezus zasiadł w domu celnika do prędko przygotowanej uczty.

Jest to obraz malarza włoskiego Barttolomeo. Widzimy na nim Pana Jezusa, siedzącego przy stole, z wzrokiem wzniesionym ku niebu. Zapewne błaga Ojca Niebieskiego, aby zlał swą łaskę na tych, którzy jeszcze w Pana Jezusa nie uwierzyli, żeby wyrzekli się swoich błędów i poszli za Nim drogą, która prowadzi do królestwa niebieskiego. Błogosławi przytem Jezus dary, które ma spożyć, aby dać przykład zgromadzonym, iż za wszystko trzeba Panu Bogu dziękować.

Wszyscy obecni, uwidocznieni na powyższym obrazku, śledzą z wielką ciekawością każdy ruch Pana Jezusa, notują pilnie w pamięci każde Jego słowo. Jedni czynią to dlatego, aby mogli później przed znajomymi wielbić Syna Bożego, inni, aby móc znaleźć powody do wystąpienia przeciw Niemu, do oskarżenia Go przed faryzeuszami i arcykapłanami żydowskimi, by ci mieli jak najwięcej dowodów, świadczących na niekorzyść Pana Jezusa. Nawet ten, który niósł na tacy potrawy, potrzebne do przyjęcia gościa, przystanął na chwilę i patrzy, i słucha, aby widzieć, co czyni Chrystus, aby nie stracić żadnego słowa, przez Niego wypowiedzianego. Zresztą przedmiotem zainteresowania wszystkich jest tu Pan Jezus, z wyjątkiem małych dzieci, których jeszcze poza zabawą nic na tym świecie nie obchodzi.

Jak wiadomo, wstąpieniem Pana Jezusa w dom celnika i spożyciem u niego posiłku zgorszyli się przedewszystkiem ci, którzy powinni się byli cieszyć z tego, to jest ludzie bogaci. Wszak Pan Jezus już wówczas uchodził za nauczyciela i opiekuna wszelakiej biedoty, przeto powinni się byli cieszyć z tego, że Pan Jezus, ucząc biednych i opiekując się nimi, nie pogardza i bogatymi, jeżeli ci żyją uczciwie i postępują zgodnie z prawami Bożymi. Pan Jezus nie patrzy na bogactwa tego świata, u Niego równym jest monarcha z największym żebrakiem, jeżeli obydwaj mają czyste serca.

Ale nie o to chodziło faryzeuszom; oni chcieli podburzyć przeciw Jezusowi nietylko możnych tego świata, ale chcieli odciągnąć od Niego i tych maluczkich, którzy się ku Niemu garnęli. A przecież tych były rzesze nieprzeliczone i gdyby tylko byli zechcieli, mogli byli w proch zetrzeć wszelkich potentatów świata. Oburzając się więc na Pana Jezusa, to mieli na celu, aby jak najgorzej usposobić przeciw Niemu te rzesze tych maluczkich.

Gdyby byli wiedzieli, że Pan Jezus tylko po to przyszedł na świat, by umrzeć śmiercią męczeńską dla odkupienia całego świata, może byliby nie używali tych różnych sposobów, aby Go w opinji maluczkich poniżyć i tem samem ułatwić sobie swoje zbrodnicze dążenia. Bo męka i śmierć Pana Jezusa były postanowione przed wiekami i nic ich odwrócić od Pana nad Pany nie mogło.



Najczęściej to się tego człekowi zachciwa, cego ani rus dostać ni moze. Na przykład mnie w tem, świętem poście zachciało się koniecnie baby i jakby ino jegomość mi nie bronili, tobym się jesce dziś ozenił. Posedłem wkiejsik na plebaniję i powiadam jem co i jak. A oni mi na to:

— Cyś zdurniał, Maciuś, a toze to teraz święty pust!

— To właśnie — ja jem na to — przecie wiadomo, ze zeniacka byłaby najlepsa w poście. Teraz jest i casu więcej, bo jesce się roboty w polu nie zacęły, to dałoby się dokumentnie o babie i miłowaniu pomyśleć. A ze pust, to i cóz z tego. Przecie baba to nie spyrka, ani kiełbasa, ani zadna podlewicza, ani kisica z kasą i aksamitem, ino zwycajna baba, a zadne przykazanie boskie ani kościelne postu od baby nie nakazuje. A choćby i nakazywało, to jegomość powinni wiedzieć, ze właśnie Poniezus stworzył baby na utrapienie ludzkie, a nie do jedzenia.

— No moze i mas słuszność — powiadają mi jegomość, — ale ktoze to bierze babę ku utrapieniu? Przecie wiadomo, ze kuzden suka sobie takiej baby, coby mu była uprzyjemnieniem zycia, rozweseleniem dni jego i pomocą w pracy.

— E moiściewy, jegomościu — powiadam jem — to się to ino tak gada, ale w rzecywistości to jest inacy. Wy baby nie macie, to nie wiecie, co to za ziółka. Gdybyście się raz ozenili, tobyście zaraz osiem razy na teologję umykali. Całe scęście, ze wam nie wolno i latego wszyscy wam we wsi zazdroscą. Kuzda niewiasta, cy to wsiowska, cy miastowa, to nim se jakiego śturkaca ułapi, to nicem ten janiołek w kaplicy nad wielkiem łontarzem, ale zapóźni: ho, ho, ho!... Zaraz jej zamiast skrzydełek wyrastają rogi, paluski, które były przedtem jakby stworzone do całowania, przemieniają się w pazury, a języcuś, ten kochany języcuś, którem ci takie słówka słodziutkie prawiła, staje się takiem zatraconym ozorem, ze jaze okropa bierze! Przed ślubem to kuzda z nich ma i spodnicki czyściusieńkie, i majtecki, kieby na słonku blichowane, i gębusię wychędozoną na glanc, i locki śliczniuchno na głowie wycesane, a po ślubie zmienia się to w parę tygodni w jakiś cudowny sposób, ze rodzonemi człekowi trudno rozpoznać swojej umiłowanej Kasi, Basi, cy Marcysi. Z wiotkiej dziuski robi się babsztyl, którego nietylko sam jej dozgonny tałajtapa boi się, jak morowego powietrza, ale na którego widok trzęsą się sąsiedni gospodarze i wszyscy święci. Takie one były, takie są i takie będą.

— Ej coś mi się widzi, Maciuś, ze ty grubo przesadzas! Jesce baby ni mas, a juz je tak obgadujes, jakbyś ich co najmniej pół tuzina w swojem zyciu zdarł. Mnie się widzi, ze znowu tak źle nie jest?

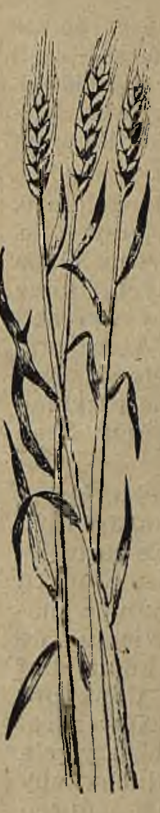
— Nie? A skądze jegomość o tem wiedzą?

— Skąd? A od samych bab. Przecie niektóre śnich prawie co tygodnia chodzą do świętej spowiedzi, a wiadomo, ze na świętej spowiedzi, to się nawet najgorsej prawdy dowiedzieć mozna. Przyjdzie taka jedna i druga i opowiada, ile ona to różnych świństw narobiła. To obmawiała, to pyskowała, to kłamała, to inkse niecystości wycyniała, a zapytać się, lacego to robiła, to ci zaraz powie, ze nie jej wina w tem, ale jej chłopa, który ją zawse na pokusenie wywodzi. Gdyby nie chłopy, to ani jedna baba nie miałaby ani jednego grzychu. Obmawia inkse baby, to robi to z wielgiej religijności, aby swemu chłopu je obrzydzić i od nich go odciągnąć; pyskuje, to ino latego, aby swego śturkaca upamiętać i odwieść go od jakiego zberezieństwa; kłamie, to ino bez to, aby się jej chłopiaga nie zepsuł i nie starał się zejść na bezdroza. Kuzda z nich powiada, ze juz sama woli siebie oskarzyć w konfesjonale przed Panem Jezusem i odpokutować zadaną pokutę, aby ino swojego ciamajdę od kary Boskiej uchronić.

Tak powiadali mi jegomość i ciągle się przy tem uśmiechali tak, ze mi się wydawało, ze i oni w tym wypadku nieco przygrzysyli i ze mnie se ino śpasy robili.

A jegomość tak dalej prawili:

— Gdyby nawet twoja prawda była, to przecie i to wiadomo, ze zadna baba nazajutrz po ślubie się nie zmienia, ale wytrzymuje w swej dobroci bez kilka tygodni. Latego gdyby się było wolno zenić w poście, toby właśnie na post wypadały te tygodnie ukontentowania, a cała strapacyja zacynałaby się zapóźniej. Gdy się jednak kto obzeni na parę tygodni przed postem, to prawdziwe męki przechodzi dopiro w poście i wtedy wszyćko jest w porządku.



Sierota.

Była sierotą — bez ojca i matki,
Jak pies bezdomny włokła się po świecie...
Ni wioski swojej, ni maleńkiej chatki
Nie dla niej słońce i wiosna i kwiecie.

Łzy wypłakała i gorzkie i rzewne,
Serce rozdarła w przykrościach i męce —
Nie dla niej wieją wietrzyki powiewne,
Nie dla niej były macierzyńskie ręce.

Nie dla niej gwiazdki świecą się na niebie,
Nie dla niej słońce zsyła promień złoty —
Idzie w wędrówce o proszonym chlebie
W dal pełną gromów, burzy i spiekoty.

Idzie — a ciału dokucza spiekota
Lub zimno chłoszcze i gryzie i pali —
Myśl ciągle szepce: sierota, sierota!
A chmury cierpień nie ogarną dali.

Przed nią przyszłości niezbadana jęczy,
Za nią przeżyte dni wyją bólami;
Lecz nad nią łaska się Boga roztęczy,
Bo ją wyprosi modlitwą i łzami.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Joruba II.

Stolicą Joruby jest miasto Ojo. Rzeczami, godnymi uwagi w Jorubie, są: pałac i plac królewski. Pałac zbudowany jest na płaszczyźnie, górującej nad wschodnią częścią miasta. Zabudowania zajmują przestrzeń kilku kilometrów kwadratowych. Tę olbrzymią przestrzeń otacza mur 14 stóp wysoki; sześć bram prowadzi do sal królewskich i niektórych dzielnic miasta. Właściwy pałac obejmuje domy króla i jego małżonek, ozdobione werandami kilkaset metrów długiemi i otoczone rozległem podwórzem. Domy te tworzą kwadrat, pośrodku nich znajduje się plac, ozdobiony bożkami, ale wyłącznie dla króla i jego małżonek rezerwowany. Całe podwórze zamknięte jest dla publiczności. Kilkanaście pawilonów zdobi pałac, wprawdzie są to tylko sale poczekalne, w nich gromadzą się próżniacy, dworacy, politycy i plotkarze. Od rana do wieczora widzieć ich można rozciągniętych, udających zupełną obojętność; w rzeczywistości czatują oni na sposobność pokazania się i sprzedania swych pochlebstw i swoich oszczerstw.

Dwór też jest ciekawy. Po królu, który jest nietykalny i dzierży absolutną władzę, następuje Bafin, naczelnik dworzan i niejako pierwszy minister. Ten posiada zupełne zaufanie swego pana. Ale najciekawszy i najmniej pożądany urząd jest tam ten, który piastuje Olekun-esin (to jest posiadający sznur konia). Zaszczycony tym urzędem jest wprawdzie wolnym, może ciągnąć ogromne zyski, nic mu nie bywa odmówione, jest pierwszym faworytem króla i u niego zawsze łaskę znajduje. Ale jest on skazany na śmierć od pierwszej chwili objęcia swego urzędu, bo



Misjonarze u króla Joruby,

musi spokojnie zasnąć w dniu, w którym król umrze. Skoro tylko wieść o śmierci króla gruchnie w pałacu, zaraz pierwszy minister uwiadamia o niej oficjalnie Olekun-esina, który natychmiast załatwia swoje



Pożar domu w Ojo.

sprawy, aby przyjąć cios śmiertelny, zanim wieść ta rozniesie się dalej.

Do osobliwości dworu należy także sześciu muzykantów, stanowiących muzykę dworską. Muzyka u murzynów ma wogóle wielkie znaczenie, ale na dworze króla Joruby jest ona nadto nieustannie czynna. Każdego dnia artyści królewscy na wielkich trąbach miedzianych, sześć stóp długich, odgrywają melodje poważne, mało urozmaicone, podobne do głośnego jęku. Bębny różnego tonu i różnej wielkości usiłują nadać im jeszcze większą siłę. Ta muzyka, iście afrykańska, rozwesela wolne chwile króla, w nocy oznacza zmianę straży, a we dnie godziny. Muzykanci, wszedłszy do wewnętrznego podwórza królewskiego, ustawiają się z boku i zaraz rozpoczynają swe wrzaski, a jednocześnie żony królewskie, niewidzialne kiedyindziej przez zwykłych śmiertelników, tańczą dla uciechy swego pana, rozweselając go pośród ciężkich trosk panowania.

Rzeczywiście nielekkie troski obarczają umysł króla. Charakter przebiegły mieszkańców Joruby przeszedł już w przysłowie między murzynami. Napozór dotrzymują słowa, ale zręcznie zapomocą różnych wybiegów umieją oszukać każdego, kto im zaufa, i wywieść go w pole. Nie wiele różni się od swych poddanych i sam monarcha: jeżeli potrzeba, przysięga się i mówi nieraz, jak jaki misjonarz, ale jest niemała różnica między tem, co mówi, a co chowa w głębi serca.

Małżonkom swym król nie pozwala nigdy próżnować. Zaspokoiwszy zachcianki króla i rozweseliwszy go tańcem, udają się do pracy, którą jest plecienie mat. Maty te sprzedaje król na targach w Ojo, co przysparza mu dość dochodu.

Król Joruby ma specjalnego bożka dla siebie, który o innych ludzi nie dba, a tylko opiekuje się samym królem.

Ogień u mieszkańców Joruby jest straszną bronią. Najmniejszy nieraz powód wystarcza, aby pod-

palić dom sąsiada. Na pierwszym naszym obrazku widzimy właśnie pożar domu w Jorubie. Podpalił go sąsiad tylko dlatego, że w domu tym zamieszkali przejeżdżający misjonarze, a nie u niego.

Na drugim obrazku widzimy króla Joruby, przyjmującego dwóch misjonarzy na posłuchaniu. Sam król siedzi pod jakąś szopą na „tronie“, a u stóp jego przez cały czas posłuchania leży mistrz ceremonji, coś jakby minister, a więc jeden z najwyższych urzędników państwa.

(Ciąg dalszy nastąpi).



(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

V.

W zamku hrabiów Radwanyi.

Wyspawszy się należycie w jednym z najlepszych hoteli Debreczyna, postanowił zaraz rano zabrać się do dzieła. Nocy tej nie zważał nawet na pluskwy. Utrudzony bowiem i podniecony temi ciągłemi jazdami z miasta do miasta, spał twardo, bez żadnych majaczeń. Zapewne duch zmarłej pozostawił go w spokoju, widząc, że był u celu, gdzie mógł rozwiązać zagadkę.

Koło godziny 10 wyszedł na miasto. Po drodze poinformował się o położeniu miejscowości „Radwanyi“. Najął taksówkę i kazał się tam wieźć.

— To 10 kilometrów drogi — uprzedził go przezorny szofer.

— A ja słyszałem, że Radwanyi leży w bezpośredniem sąsiedztwie miasta — próbował się spierać.

— To prawda, — odrzekł. — Nim się jednak zajedzie na kraniec miasta, trzeba przebyć trzy kilometry — potem ciągnie się puszta długości conajmniej 7 km. Za nią znajdują się dopiero domostwa Radwanyi.

— Do kogóż pan tam może jechać? — ośmielił się zapytać; widział bowiem, iż ma do czynienia z cudzoziemcem.

Brutanek znał zaledwie parę słów węgierskich — a rozmawiał z nim po niemiecku.

— Do dawnego kolegi z wojska — wytłumaczył pospiesznie.

— No to podziwiam pana — odparł szofer. — Są zatem jeszcze ludzie, którzy nie zapominają o przyjaciołach z najgorszych czasów.

W czasie jazdy przemyśliwał, jak postąpić; czy zajechać prosto na zamek, śmiało zapukać do bramy, czy też użyć innego wybiegu.

Dzień mu sprzyjał. Słońce przygrzewało silnie. Jechali przez rozległe pastwiska z wypaloną przez spiekotę trawą. Gdzie rzucił okiem, widział jeno niezmiernie żółte płaszczyzny z rzadkiemi kępami zieleni. Tak więc wyglądały w lecie owe sławne puszty debreczyńskie, przyszło mu na myśl. Za kilkanaście minut poczęły się wyłaniać pierwsze domy wioski Radwanyi.

— Gdzie mam zajechać? — spytał szofer, zwalniając biegu.

— Do zamku hrabiego Radwanyi, — odrzekł bez wahania.

— Dlaczegoż mi tego łaskawy pan zaraz nie powiedział? — zwrócił mu uwagę. — Do zamku jedzie się zupełnie inną drogą. Od wioski przedzielony jest długiem, kilka kilometrów ciągnącym się jeziorem a szerokiem jakie 150 m. Musimy zatem objechać pusztą całe jezioro, gdyż drogi z tej strony do zamku niema. Albo też łaskawy pan — pospieszył z bliższem wyjaśnieniem — użyje łódki i przeprawi się przez jezioro.

— Dobrze, z chęcią przejadę się łodzią przy dzisiejszym skwarze — odrzekł Brutanek, patrząc bez przerwy na wspaniałą rezydencję hrabiów Radwanyi. górującą ponad okolicą, którą od kilku kilometrów miał przed sobą.

Wioska, jak sądził z wyglądu, była bogatą, rozległą, zatem i właściciel musiał należeć do niepowszednich magnatów.

Szofer zatrzymał się naprzeciw zamku u brzegu jeziora koło małej przystani, w której znajdował się dziesiątek łodzi. Zapłacony odjechał. Zostawiony sobie Brutanek, stał dłuższą chwilę nad brzegiem, zachwycony wspaniałym widokiem, który roztaczał się po drugiej stronie. Jak z jednej brzegi jeziora były puste, pożółkłe — tak z przeciwnej widać było bogatą roślinność. W dali na tle zieleni górował wspaniały zamek. Zbudowany na dość znacznem wzniesieniu — jedynem na rozległych równinach, ślicznie odbijał się w zwierciadle ciemno-niebieskiej wody. Cechowała go charakterystyczna, odmienna niż w innych państwach architektura średniowiecza Madziarów. Należący do ludów wschodnich, mieli we krwi zamiłowanie do smukłych baszt i wież, tą odmiennością też odróżniają się siedziby magnatów węgierskich od zamków rycerstwa innych państw.

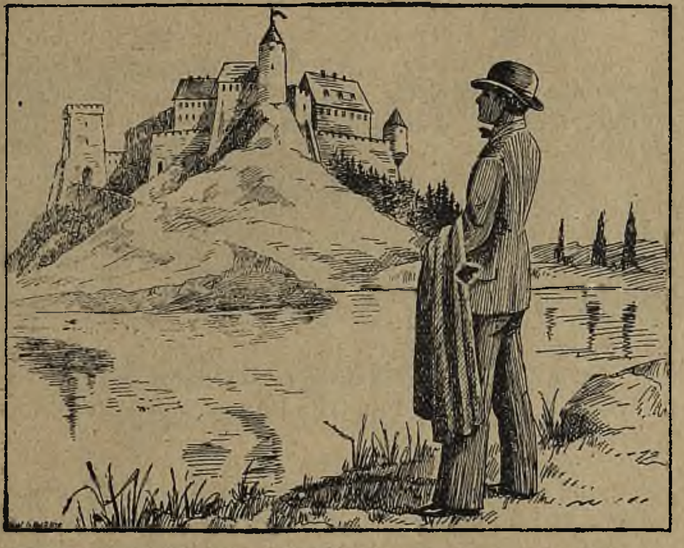
Zamek Radwanyi, rodziny sięgającej heraldyką do niepamiętnych czasów, — do baszów węgierskich, zbudowany w odległem średniowieczu, miał również ową strukturę. Kilkupiętrowe budowle, wznoszące się jedne nad drugiemi, ozdobione licznemi basztami z kończystymi dachami, pokryte były blachą. Starannie utrzymany, a nawet niedawno odnowiony, świadczył o bogactwie właściciela.

Dał jednak pokój zachwytom, podszedł do pierwszego z brzegu przewoźnika, wsiadł do łodzi i za kilka minut znalazł się w alei, wiodącej do zamku. — Niewidoczne zdala, ukryte wśród drzew obronne mury, utrzymane również w najlepszym stanie, ukazały się teraz w całej okazałości.

„Zaraz widać, że właściciel lubi ład“ — przyszło mu na myśl. Rozglądnąwszy się dokoła, zobaczył w najbliższej okolicy zamku kilkadziesiąt domów murowanych. Czy odwlec ostateczny krok i jeszcze się namyślić. Obszedł go dookoła i przekonał się, że jego obronne mury miały kilka kilometrów obwodu. Udał się do najbliższej gospody, gdzie spożył obiad. Próbował nawiązać rozmowę z jej właścicielem na temat stosunków rodzinnych hrabiów Radwanyi, ale mu się to nie udało. Znał on zaledwie język węgierski, którego Brutanek pamiętał kilkadziesiąt słów. Widząc, iż dla braku podstawowych wiadomości nie może działać podstępnie, postanowił udać się wprost do hrabiego Radwanyi i bez wstępów oświadczyć mu, w jakim celu składa wizytę.

W tej też myśli, oczyściwszy się po obiedzie, poszedł do zamku. Minął wspaniałą aleję, wysadzoną

drzewami morelowemi, piękną bramę i podążył do pierwszego budynku mieszkalnego. Jak zauważył, mimo średniowiecznego wyglądu, zamek był dostosowany do postępu czasu. Wszędzie widział lampy elektryczne, centralne ogrzewanie, wodociągi, a nawet okna budynków, przy zachowaniu średniowiecznego stylu, przerobiono według najnowszych pojęć architektonicznych. Spostrzegł również, że zamek posiadał własną elektrownię.



Patrzył na wspaniałą rezydencję, górującą nad okolicą...

Szczęśliwym trafem budynek, do którego wszedł, był siedzibą hrabiostwa.

Już wejście do wysokiego, wspaniale umeblowanego korytarza przekonało go o tem. Obstąpiła go służba obojga płci — pytając, gdzie dąży. Nie mógł się z nimi jednak porozumieć. Na zadawane mu pytania powtarzał bez przerwy „nem tudum madziarum — csak nemeti".

Wreszcie jedna ze służących odeszła i przyprowadziła starego kamerdynera, który powitał go czystym niemieckim językiem. Odetchnął z ulgą. Na pytanie, do kogo dąży, odrzekł:

— Do hrabiego.

Kamerdyner poprosił o bilet. Oddał mu jeden z tych, które na prędce kazał wydrukować w Paryżu — składając wizyty arystokracji polskiej. Miał on brzmienie francuskie i adres paryskiego hotelu. Kamerdyner nie pospieszył zaraz do hrabiego, lecz rzuciwszy okiem na bilet, zaczął go indagować.

— A to pan doktór przybył specjalnie z Paryża, celem leczenia jaśnie hrabianki Marty?

Do tego pytania upoważniało go widocznie wieloletnie współżycie z chlebodawcami, poufałość z nimi i znajomość stosunków i tajemnic domowych.

— Hrabianki Marty? — zdziwił się niezmiernie doktór Brutanek.

— Tak, bo takie imię nosi nasza chora, — pospieszył z bliższem wyjaśnieniem. — Pan hrabia i pani hrabina znajdują się właśnie w jej pokoju — może zatem pan doktór będzie łaskaw podążyć wprost do nich. Proszę poczekać, zaraz pana doktora zamelduję.

Lekarz Brutanek mało go rozumiał, gdyż usłyszana wiadomość oszołomiła go i zaskoczyła.

Gdy kamerdyner wyrzekł ostatnie zdanie, zorjentował się o co chodzi i wstrzymał go słowami:

— Proszę mię nie meldować, zapomniałem zabrać przyrządy ze sobą. Wrócę tu jutro.

Chciał zyskać na czasie, widząc, że nie znajduje się na właściwej drodze.

Dotąd był przekonany, że hrabianka Marta była ową topielicą z Myślenic, tymczasem usłyszał, że ona żyła. Łudzące podobieństwo zmarłej z arystokratką znowu pomyliło mu szyki, a i odebrało nadzieję rozwiązania zagadki. Przynajmniej wyjaśniło się zniknięcie hrabianki Marty — pomyślał. Zachorowała i nie mogła powrócić do Londynu. Postanowił wycofać się z niejasnej sytuacji. Ale stary kamerdyner nie dopuścił do tego.

— Nie potrzebuje pan doktór trudzić się, mamy bowiem domowego lekarza i jego przyrządy znajdują się w pokoju jaśnie hrabianki. Nasz pan lekarz jest nieobecny, wezwano go bowiem do sąsiedniej wsi. Spieszę zatem zameldować pana doktora.

Lekarz Brutanek nie miał już powodu do dalszego wymawiania się. Kiedy kamerdyner odszedł, rozmyślał nad położeniem, w którem się znalazł i doszedł do wniosku, że albo hrabiostwo oczekiwali jakiejś znakomitości lekarskiej z Paryża i kamerdyner wziął go za niego, albo też...

— Jak ja jednak wybrnę z tego położenia? — przerwał swoje myśli.

Postanowił na razie zbadać chorą hrabiankę — nie zadawać żadnych pytań, a czekać na pytania hrabiostwa i stosownie do nich odpowiadać.

I rzeczywiście wyjście z niemiłej sytuacji łatwiej znalazł, niż się spodziewał.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Pewnego wieczoru...

Dzień zimny, styczniowy. Pola świeciły i raziły swą białością. Chmury grube i sine zwisały nad światem. Drzewa wyciągały smutnie swe nagie ramiona ku niebu. Czasem sanie jechały ze świstem i jęczały dzwonki żałośnie, ale wnet ginęły uniesione w siną dal; czasem jakaś starowina szła otulona i pokurczona z zimna, ozwały się ujadania psów, lecz za chwilę jeno ten wiatr zimny i mroźny, ze świstem unosił tumany śniegu. Jakieś jęki, żale i narzekania szły po pustych polach.

W stronę wsi szło dwóch chłopów, ubranych w kożuchy i czapy baranie. Z wysoko podniesionych kołnierzy futrzanych widać było tylko ich wielkie wąsiska i błyszczące oczy. Szli raźno, że jeno skrzyp śniegu rozlegał się pod ich ciężkiemi butami. Widać, że nie tutejsi, bo rozglądali się bacznie i ciekawie dokoła.

— Hej, gospodarzu! A gdzie tutaj mieszka Maciej Baran? — zawołał jeden z nich do wychodzącego chłopa z jakiegoś domu.

— A widzicie haj tę lipę, na górze za kościołem?

— A juści.

— No to jeszcze potem kawołeczek na dół — i już jego dom.

— Bóg wam zapłać. Trafimy.

— Z Panem Bogiem.

I znów szli pewnym krokiem. Psy ujadały za nimi z wściekłością.

— A ścierwy, ujadają na nos — rzekł jeden z nich.

— A bo nas nie znają. Dobre juchy — rzekł drugi.

Przechodząc koło kościoła, zdjęli czapki i przeżegnali się nabożnie. Wreszcie stanęli przed dużym, białym domem i skierowali się w jego opłotki. Psy

zaczęły na nich ujadać tak zaciekle, aż się drzwi otwarły i wyjrzała z nich młoda kobiecina, otulona wełniakiem i poczęła uspokajać psy.

— Burek, Jurka. — A będziecie cicho — juchy jedne!

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— A na wieki wieków!

— Czy tu mieszka Maciej Baran?

— A juści, że tu — otwarła drzwi i wpuściła ich do sieni, gdzie poczęli strzepywać śnieg z siebie.

— A to ziąb dzisiaj. Aż hej! — gadali, wchodząc do kuchni.

— Dawnośmy nie mieli takiej zimy — mówiła młoda kobeta, przyglądając się im ciekawie. — Ale siadajcie, bo pewno z daleka przyszliście i zagrzejcie się zdziebko.

— Słyszeliśmy, że Maciej mają konie do sprzedania. Więc chcielibyśmy się coś dowiedzieć — a może nawet kupić.

— A w sprawie koni. Zaraz zawołam mojego.

Wybiegła do drugiej izby i zaczęła trząść za ramię śpiącego.

— Stary wstawaj!... słyszysz?...

— Kobito do licha... daj mi spokój — rzekł, przewracając się na drugi bok.

— Macieju, wstawaj... Przyszli jacyś kupcy po konie...

— A psiachmać... w sprawie kupna koni, powiadasz?...

— A juści, czekają w kuchni na ciebie.

— Powiedz, że zaraz przyjdę — rzekł, ubierając się spiesznie.

Po paru minutach był gotowy. Jeszcze przygładził włosy, podkręcił wąsy i wszedł do kuchni.

Siedzieli sobie przy piecu i pykali fajki. Na jego widok powstali.

— Witajcie gospodarze! — zawołał Maciej wesoło, ściskając ich dłonie. — A z daleka to Pan Bóg prowadzi?

— Aż z Lipowej — odparł starszy z nich.

Tymczasem śniadanie było gotowe. Na stole leżał ogromny bochen chleba, na patelni jajecznica, a w garnuszkach kawa gorąca, z której miła woń się rozchodziła.

— Do stołu gospodarze, do stołu — zapraszała zgrabna i uśmiechnięta Anielka, żona Macieja.

— Czem chata bogata, tem rada — rzekł Maciej.

— Bóg wam zapłać.

Jedli w milczeniu i z powagą. Maciej rzucał na nich ciekawe spojrzenia, ale nic nie mówił, jako że przy jedzeniu nie wypadało. Gdy skończyli, poczęstował ich tabaką. Kichnęli parę razy, obtarli czerwonemi chustkami oczy i nosy.

— Silna jucha!...

— A bo to aż z Warszawy, Polski wyrób — odrzekł Maciej.

Chrząknęli parę razy i pierwszy z nich zaczął.

— Przyszliśmy do was w sprawie kupna koni, które, jak słyszeliśmy, macie do sprzedania?

— Dobrzeście słyszeli. Mam ich trzy, a są wszystkie niepotrzebne. Sprzedam dwa.

— My też więcej nie kupimy. A myślę, że nas ta bardzo nie obciągniecie?

— O to się nie obawiajcie, bo jeżeli się wam konie będą podobać, to ja wam krzywdy nie zrobię.

— No to może nam je pokażecie, bo czas to pieniądz?

— Mam je u mego brata, bo był wczoraj z niemi w Bielsku z drzewem. — Pójdziemy do niego.

— A no dobrze.

— Anielko, przynieś mi mój kożuch z komory. Jeno się coś przebiorę, zaraz będę z powrotem — rzekł Maciej do gospodarzy.

— Żeby tak dobrze sprzedać te konie, przykupiłby sobie coś gruntu na zwiesnę — tak sobie myślał Maciej, ubierając się w świąteczne ubranie.

— Tu masz kożuch — rzekła Anielka, wchodząc. Ale wiesz co, Maciej, lepiejby może było, ażebyś nigdzie nie chodził w taki zły czas. Śniło mi się bardzo niedobrze tej nocy.

— Głupiaś. Sprzedam konie i przyjdę do domu. Co tam we sny wierzyć, — to bujda.

— Ale ty znów się upijesz, a o nieszczęście nie trudno. Mówili ludzie, że pojawiły się wilki w naszych lasach.

— Nie obawiaj się, nie będę pił. Gdy tylko sprzedam, wrócę do domu.

To powiedziawszy, wyszedł.

Patrzała za nimi Maciejowa jakoś ze smutkiem, którego sama nie mogła sobie wytłumaczyć.

Wieczór był burzliwy. Śnieg sypał tak gęsty, że na dwa kroki nie można było nic widzieć. Wiatr to tak zawodził, tak wył dziko, że ludziska żegnali się z trwogą i kryli po domach. Dawno nie pamiętano takiej zawieji.

* * *

Przez wieś szedł chłop silnie pochylony w przód, czasem aż musiał się cofać przed siłą wiatru. Nabierał tchu i szedł dalej. Stanął przed karczmą, a widząc światło, podszedł do drzwi i uderzył w nie pięścią. Za chwilę drzwi się otwarły i ukazał się w nich żyd karczmarz, który patrzał ciekawie, kto to przychodzi w taką zawieję.

— A co Jankiel, nie poznajesz mnie?

— Aj to Maciej! W taki czas Maciej tutaj, oj, oj!...

Przy jednym stole siedział rosły i tęgi chłop, a przed nim stała butelka araku. Widząc wchodzącego, zawołał z radością:

— Macieju, witajcie! A to psi czas, że głowy wychylić nie można.

— A wy co tu robicie Szymonie? — rzekł Maciej, siadając przy nim.

— A byłem u wójta i wstąpiłem — ano na rozgrzewkę.

— A to zły czas — rzekł Maciej, huchając w dłonie. — A wasze dzieciska zdrowe?

— Dziękować Bogu, nic im nie brakuje. Ale napijcież się, zaraz wam się lepiej zrobi na duszy. Jankiel, dajno tu jeszcze pół litra czystej.

— Słyszałem, że w naszych lasach pojawiły się wilki i kręcą się w nocy koło domów?

— Bajka, Macieju, ludziska zawsze gadają, bo nie mają o czem. — Skądby się wzięły? — za dużo ich tępią. Ale cóż was tak wygnało z domu?

— A sprzedałem dwa konie. Byli kupcy z Lipowej.

— Dobrzeście sprzedali?

— Nieźle. Będę musiał coś na wiosnę przykupić pola, to też sprzedam to i owo, ażeby zebrać gotówkę.

— Ale na zdrowie, Macieju, i na pomyślność waszą. Doróbcie się, jak największego majątku.

— Dziękuję, Szymonie! Bóg wam zapłaci za dobre serce.

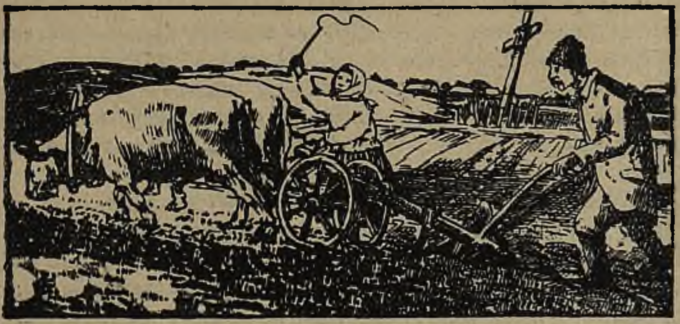
Popijali sobie i gadali o swoich troskach, o gospodarstwie i o wszystkiem, co tylko było tłumione na ich sercach; brali się w objęcia, bratali, całowali, że nawet łzy im się znalazły w oczach z tej ckliwości.

— Macieju, możebyście mi pożyczyli do niedzieli trzydzieści złotych. Jutro mam podatek zapłacić. Miałem iść do naszego Dobrodzieja, ale wyście mi bliższy. W niedzielę oddam.

— Pożyczę ci, bracie kochany — rzekł Maciej, już podchmielony.

Wysypał z worka pieniądze na stół i począł odliczać dla Szymona trzydzieści złotych.

(Dokończenie nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

Poprawianie zaniedbanych sadów.

Drzewa owocowe, starannie pielęgnowane, otaczane troskliwą i umiejętną opieką człowieka, rodzą piękne i smaczne owoce, rosną wzorowo i przez długi szereg lat sowicie wynagradzają pracę. Zdawaćby się mogło, że każdy właściciel sadu, wiedząc o tem, jak najtroskliwiej opiekuje się swoimi drzewami, bo wie, iż to się opłaci, gdy sad jego to obraz porządku i rozumnej pracy, ale...

Zajrzyjmy lepiej do sadu, w którym gospodarowano lub gospodarują z nieświadomością rzeczy, nieumiejętnie, lub też nie zajmowano się nim oddawna wcale. Cóż widzimy? Oto ziemię pod drzewami zarośniętą zielskiem, ziemię zbitą, zadarnioną, drzewa z koronami nawpół suchemi, gałęziami strasznie powikłanemi, obrośnięte mchem i niszczone przez owady. Często też tu i ówdzie widzieć można gałęzie połamane, pnie drzew zraczałe, z korą porozdzieraną, a przy pniu całe kępy „wilków".

Czy taki „sad" daje zyski właścicielowi? Nie! — Wynagradzanym można być tylko za pracę — nie darmo. Czem zaś ta praca będzie rozumniejszą i staranniejszą, tem i nagrody lepszej spodziewać się można. Drzewo owocowe umie się odwdzięczyć człowiekowi; chciejmy tylko się niem opiekować, a opieka ta niech będzie rozumną, będziemy mieli i zysk i przyjemność. Cóż robić? Jak radzić, gdy sad mamy tak strasznie zaniedbany, jak to powiedziano powyżej? Przedewszystkiem, po uważnem rozejrzeniu się w sadzie, usunąć należy z niego takie drzewa, którym już żaden ratunek, żadna opieka nic nie pomoże. Takimi będą drzewa bardzo stare, pokaleczone, wcale albo bardzo mało rosnące, nie owocujące, z nawpół suchemi konarami, lub też drzewa, mające pień stoczony przez raka, zupełnie spróchniały, korony zaś prawie suche, wilków nawet nie mające. Takie drzewa bez wahania usunąć należy. Prócz tych usuwamy też drzewa niezbyt stare, bo zaledwie około lat 30-tu mające, które przecież napróżno miejsce zabierają. Są to śliwy i wiśnie, które w tym wieku, jako przestarzałe, prawie nie owocują, a nawet same giną. Po usunięciu z sadu drzew podobnych zabieramy się do uporządkowania pozostałych starych, ale zdrowych drzew. Wycinamy więc najpierw z pomiędzy koron wszystkie suche gałęzie, starając się robić to bez uszkodzenia innych, oraz pamiętając, że każda gałąź sucha wyciną być powinna aż do miejsca zdrowego, które, po wygładzeniu ostrym nożem lub ośnikiem, należy zasmarować maścią — białą, farbą olejną lub też gliną. Następnie przeglądamy uważnie całą koronę drzewa i wszystkie gałęzie z niej, które się krzyżują i trą wzajemnie, wycinamy, pozostawiając z dwóch krzyżujących się jedną, taką, która, ze względu na formę korony, jest potrzebniejsza i która najmniej przeszkadza lub przeszkadzać może w przyszłości innym.

Niepotrzebną wycinamy albo całą u nasady, albo pewną jej tylko część — bezpośrednio nad oczkiem lub młodą gałązką. Wyciąć też należy te gałęzie, które są umieszczone w koronie zbyt gęsto, które, rosnąc prostopadle wewnątrz korony, przeszkadzają innym, oraz wszelkie wilki, rosnące w koronie, na pniu lub też z korzeni.

Oczyszczając czyli wykrzesując koronę w sposób podany, pamiętać zawsze należy, że jest to czynność niezmiernie ważna, że zatem wykonaną być powinna bardzo starannie i umiejętnie. Wykrzesywanie podobne ma na celu usunięcie gałęzi niepotrzebnych, przeszkadzających, głównie zaś — przerzedzenie korony, wskutek czego drzewo luźniej może rosnąć, każda z pozostających gałęzi może być lepiej umieszczoną w koronie, a owoce lepiej wykształcone i zabarwione. Owady też w przerzedzonej koronie łatwiej mogą być zniszczone. — O samem cięciu powiem, że każda gałąź powinna być odejmowana starannie, a więc nieodłupana, ranki zaś wygładzone nożem i zasmarowane. Żeby grubsze gałęzie nie odłupywały się ze zdrową korą, należy je naprzód pod spodem naciąć piłką i potem dopiero piłować z góry. Im rany będą mniejsze, tem drzewo lepiej na tem wyjdzie. Sęków nie należy pozostawiać, lecz ciąć bezpośrednio nad jakiemś rozgałęzieniem, jeżeli odcinamy część gałęzi albo blizko przy pniu. Wszelkie odejmowanie żywych gałęzi wykonywać można w czasie spoczynku drzew, najlepiej w miesiącu lutym i marcu; suche usuwać można w każdej porze. Drzewa stare, zaniedbane przez długi szereg lat, nie mogą być odrazu zupełnie i dokładnie wykrzesane, mogłoby to ujemnie wpłynąć na ich zdrowie. Dlatego też najlepiej rozłożyć całą robotę na dwa lata przynajmniej; w pierwszym roku usnąć tylko wszystkie suche gałęzie i część niepotrzebnych zdrowych, w drugim zaś roku dopiero część pozostałą.

W pierwszym też roku zająć się powinniśmy leczeniem wszelkich ran, pozostałych wskutek uszkodzeń rozmaitych, a więc z mrozu, przez odłamanie lub oddarcie konarów i t. d., a także niszczeniem starannem owadów. Wszystkie rany, o ile zalewać nie zaczęły, trzeba przy brzegach wygładzić nożem, zasmarować maścią i okryć szmatą. Spróchniałe lub nadpsute części drzewa należy wyskrobać aż do zdrowego i zamazać papką z gliny, krowieńca i sierści lub sieczki, albo też zalać cementem. Gdy już i to wykonamy, należy pomyśleć o doprowadzeniu do porządku wszystkich zarośniętych mchem pni i konarów. Należy zatem zaopatrzyć się w skrobaczkę, która może być zrobioną ze starej obręczy, w ucho zgiętej, lub zużytego sierpa, oraz w pendzel i mleko wapienne. Najpierw więc należy zeskrobać mech, starą i odstającą korę, co daje się najlepiej uskutecznić w czasie dżdżystych dni, kiedy kora jest wilgotną, a następnie po wyskrobaniu trzeba pobielić pnie i grubsze konary wapnem. Skrobanie, o jakiem mowa,

i wapnowanie ma to znaczenie dla drzew, że dzięki tym robotom niszczy się zupełnie mech, starą korę odłupującą się, owady gnieżdżące się w pęknięciach kory, oraz że wapnując, zapobiega się w części przemarzaniu pni. Do wapnowania użyć takiej mięszaniny: 3 łopaty wapna gaszonego, 1 łopatę gliny i pół łopaty krowieńca.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA.

Nowe oszczędności. Jak donoszą gazety codzienne, rząd zamierza obniżyć pobory emerytów o 8⁰/₀, zaś znieść zupełnie niektóre renty inwalidzkie. Byłoby to w pierwszym wypadku niezasłużone pokrzywdzenie tych, którzy sterali swe siły na pracy dla dobra publicznego, w drugim tych, którzy na polach bitew utracili zdolność zarobkowania. Podobno projekt rządu w Sejmie ma poprzeć i uchwalić klub BBWR, a sprzeciwiać się mu będą wszystkie stronnictwa opozycyjne. Nie potrzeba dodawać, że w razie uchwalenia takiego wniosku przez klub BBWR, straciłby on w kraju poparcie nietylko wszystkich pokrzywdzonych, ale i reszty urzędników, których dotykałby w przyszłości, jak również nieposzkodowanych narazie inwalidów. A wiadomo, że te dwie kategorje wyborców może najwięcej przyczyniły się do zwycięstwa rządu przy ostatnich wyborach.

Zmiana ustroju szkolnictwa w Polsce. Rząd wniósł do Sejmu projekt ustawy, zmieniający ustrój szkolnictwa w Polsce. Nad projektem tym obradują obecnie posłowie w komisji oświatowej, poczem zostanie on uchwalony na pełnem posiedzeniu sejmu. Co do szkół powszechnych to zmiana nastąpiłaby tylko o tyle, że minister oświaty mógłby w przyszłości rozszerzać te szkoły do ośmiu klas, lub ścieśniać do sześciu. Główna zmiana dotyczyłaby gimnazjów. Miejsce dotychczasowych ośmioklasowych gimnazjów zajęłyby gimnazja sześcioklasowe. Chłopiec, ukończywszy takie gimnazjum, otrzymałby świadectwo ukończenia nauki i na podstawie takiego świadectwa mógłby otrzymać posadę niższego urzędnika państwowego. Dla najzdolniejszych byłyby tworzone licea dwuletnie. W tych liceach przygotowywaliby się młodzieńcy do studjów uniwersyteckich. Zmiana ta ma na celu po pierwsze, aby na uniwersytety nie zapisywała się tak wielka liczba uczniów, z których obecnie tylko mała część kończy studja, a powtóre, aby na uniwersytet szli tylko najzdolniejsi. Ponadto mają być tworzone szkoły zawodowe, któreby przygotowywały młodzież do zawodów praktycznych. Szkoły te mają mieć uprawnienia, równające się dotychczasowym gimnazjom. Z szkół zawodowych mogliby również co najzdolniejsi przechodzić na uniwersytet, uzupełniwszy swe wiadomości i złożywszy odpowiedni egzamin. Ustawa ta ma zapewnioną większość w Sejmie, więc możliwem jest, że weidzie w życie już od września b. r.

Ze Stronnictwa Ludowego. Jak donoszą z Warszawy, poseł Michalkiewicz wystąpił ze Stronnictwa Ludowego. Nie wstąpił on na razie do żadnego klubu.

Strajk górników. We czwartek dnia 18 b. m. w Zagłębiu Dąbrowskiem i Krakowskiem wybuchł strajk górników na tle ekonomicznem. Zastrajkowało kilka tysięcy pracowników, aby zaprotestować przeciw zamierzonemu obniżeniu ich zarobków. Bo dziś tak jest, że dyrektorzy biorą miesięcznie po kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt tysięcy złotych pensji, a robotnikom obcina się skromne zarobki, albo się ich redukuje.

Bunt więźniów. W Żółkwi w więzieniu karnem więźniowie nie chcieli wypuścić z celi więźnia Zazylewicza, po którego przybył funkcjonarjusz policji. Więźniowie zabarykadowali się i nie dopuszczali nikogo do celi. Wezwano straż pożarną, która przy pomocy strumieni wody opanowała sytuację. Więźnia zabrano a sprawców osadzono w pojedynczych celach.

Wybuch gazu w Stryju. W mieszkaniu przy ul. Mickiewicza 21 w Stryju nastąpił silny wybuch gazu ziemnego, wskutek czego właściciel mieszkania Leon Witz został ciężko poraniony na całem ciele. W stanie bardzo ciężkim odwieziono go do szpitala. Również z powodu wybuchu zostało zdemolowane całe mieszkanie Witza. Zaznaczyć należy, iż w mieszkaniu, w którem wybuch nastąpił, niema zupełnie instalacji gazowej, przypuszczają więc, że wskutek silnych mrozów pękła rura gazowa w okolicy, przyczem gaz uchodzący dostał się do mieszkania Witza. Wybuch nastąpił po zapaleniu papierosa przez właściciela mieszkania.

Nieudana ucieczka bandytów. Z więzienia świętokrzyskiego usiłowali zbiec dwaj niebezpieczni bandyci Stanisław Łanjucha i Roman Szczeciński. Zapomocą wyostrzonych łyżek próbowali dokonać wyłomu w ścianie celi i zbiec. Plany opryszków zostały pokrzyżowane, a zbrodniarzy przewieziono do innego więzienia.

Niespodziewane szczęście. Urzędnik Banku gospodarstwa krajowego w Warszawie p. M. jako prezent ślubny swojej służącej dał los pożyczki budowlanej. Obdarowana była zadowolona, ale nie bardzo, gdyż wolałaby była nieco gotówki, za którą prędzej mogłaby nabyć jakiś potrzebny przedmiot do nowego gospodarstwa. Dostawszy jednak los, schowała go i nie wiele myślała o nim. Ale po najbliższem ciągnieniu spoglądnęła na numera wygranych losów i porównała je z numerem swojego losu. Można sobie wyobrazić radość niewiasty, gdy zobaczyła, że los ten wygrał 50 tysięcy złotych. Podjęła ona narazie tylko 36 złotych, aby sobie kupić puchu na pierzynę, resztę pieniędzy pozostawiła w Banku na procent.

Weksel na małżeństwo. Niejaki Aleksander Białek w Warszawie wystawił formalny weksel pannie Felicji Szatkowskiej, że gdy tylko uzyska posadę stałą na poczcie, to się z nią ożeni. Po dość długich staraniach p. Aleksander otrzymał upragnioną posadę, ale otrzymawszy ją, zrezygnował z poślubienia panny Felicji. Zawiedziona panienka zaskarżyła go do sądu. Rozprawa zakończyła się pomyślnie, gdyż sędzia tak przekonywująco przemówił do pana Aleksandra, że ten obiecał ślubem wykupić weksel. Uradowana panienka, nie zważając na powagę miejsca, jakie stanowi sąd, rzuciła się panu Aleksandrowi na szyję i serdecznie go ucałowała.

Pies zastrzelił myśliwego. Wieś Jacewo, pow. włocławskiego była widownią niezwykłego wypadku. Zamieszkały tam rolnik Stanisław Fiutak wybierał się onegdaj na polowanie i przed wyjściem z domu, trzymając w ręce naładowaną fuzję, oparł ją o ziemię. W tej samej chwili, pies myśliwski, ucieszony, że idzie na polowanie, skoczył ku fuzji i mimowoli pociągnął za cyngiel. Padł strzał, który ugodził Fiutaka w szczękę i przebił czaszkę, kładąc go trupem na miejscu.

Narodziny w trumnie. W Włocławku wydarzył się w tamtejszej kostnicy wypadek, który niezwykłe wywołał wrażenie. W mieście tem zmarła 29 letnia Bronisława Tarnecka, żona woźnego sądowego, będąca w stanie odmiennym i oczekująca na rozwiązanie. Przybyły lekarz stwierdził śmierć, a wobec szczupłości mieszkania zwłoki przeniesiono do kostnicy. Gdy następnego dnia zjawił się tam mąż zmarłej, ujrzał z przerażeniem, że wieko trumny było uchylone, w trumnie były ślady krwi, przy zwłokach zaś leżało nieżywe niemowlę. Zagadkowy ten wypadek jest przedmiotem dochodzeń

w tym kierunku, czy ś. p. Tarnecka w chwili przeniesienia jej do kostnicy była już nieżywa, czy też znajdowała się w letargu.

Desperackie samobójstwo. We wsi Marzew, pow. Garwolin, administrator domu hr. Potockich Łozowski, będąc w kłopotach finansowych, wysłał żonę pod jakimś pozorem do Warszawy, a sam podpalił swój dom, wszedł na dach płonącego domu i wystrzałem w skroń z rewolweru pozbawił się życia. Ciało desperata wpadło w morze płomieni.

Tragedja rodzinna. Dnia 18 b. m. w domu nauczyciela szkoły powszechnej Jelonka w Bzinie w powiecie koneckim wydarzyła się straszna tragedja rodzinna. Oto Jelonek, znajdujący się w ciężkiem położeniu materjalnem, prawdopodobnie pod wpływem rozstroju nerwowego, zamordował swą żonę, wbijając jej sztylet w plecy, następnie udusił córkę swoją, a wreszcze podpalił dom, strzelając potem z rewolweru do siebie w usta. Po ugaszeniu pożaru z popiołów wyciągnięto ciała nieszczęśliwych ofiar zupełnie zwęglone.

Śmierć parobka w płomieniach. W wsi Lipiny w powiecie słupeckim wybuchł pożar w zagrodzie niejakiego Walentego Kuśmierka. Ogień powstał w oborze i szerząc się z gwałtowną szybkością, zaczął zagrażać innym budynkom. Straż pożarna i ludność miejscowa zapobiegła rozszerzeniu się ognia. Obora jednak wraz ze znajdującym się w niej inwentarzem żywym spłonęła doszczętnie. Podczas rozrzucania zgliszcz natknięto się na zwłoki służącego Kuśnierka, 19 letniego Ludwika Bara. Chłopak spał zazwyczaj w oborze i prawdopodobnie, paląc papierosa, wzniecił ogień.

Młodociany fałszerz banknotów. We wsiach Mieszki, Pogorzele i Winnica w powiecie pułtuskim ukazały się w obiegu fałszywe 20 złotówki. Sprawą zajęła się policja i wykryła fałszerza w osobie 15-letniego chłopca, syna stolarza ze wsi Pogorzele. Henryka Kazimierowskiego. Chłopiec ten tak udatnie podrabiał banknoty, że trudno je było odróżnić od prawdziwych, chociaż nie miał do tego żadnych specjalnych przyrządów, tylko zwykłe pędzelki. Świadczy to o niezwykłym talencie chłopca, którego użył do czynu karygodnego. Wartałoby się nim zająć i dać go kształcić, aby zdolności swe wykorzystał na pożytek społeczeństwa.

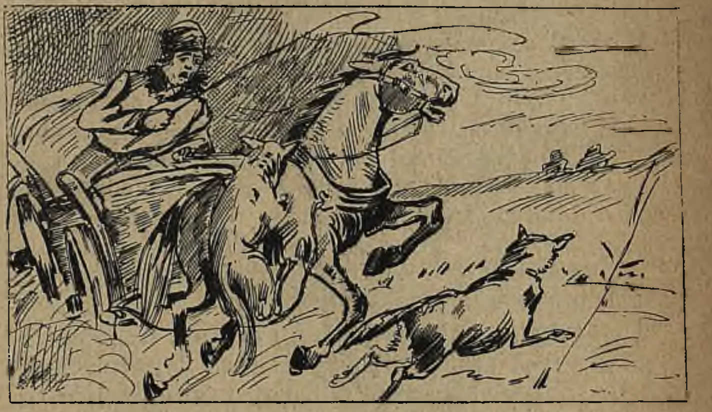
Świnia odgryzła dziecku rękę. We wsi Adamowicze na Wileńszczyźnie podczas nieobecności matki, Janiny Szczurkowej, do mieszkania weszła świnia, która odgryzła rękę sześciomiesięcznemu dziecku, leżącemu w kołysce. Dziecko zmarło wskutek wielkiego upływu krwi.

Rozpaczliwa walka z wilkiem. Mieszkaniec wsi Ozorki na Wileńszczyźnie, Adam Starowicz, idąc lasem, został napadnięty przez wilka, który rzucił się na niego, gryząc mu ręce i skacząc do piersi i usiłował zagryźć go. Starowicz, nie tracąc przytomności, wyciągnął z za cholewy nóż i ugodził nim kilka razy rozwścieczone zwierzę. Wilk pomimo ran rzucił się jeszcze kilka razy na Starowicza. Po kilku jednak ciosach padł martwy. Nieprzytomnego wieśniaka znaleźli w lesie przechodnie i oddali pod opiekę lekarską.

Tragiczny powrót z wesela. Po hucznem weselu we wsi Broszkowie gminy Pliskiej w czasie powrotu z wesela do domu konie, widzące sanki z gośćmi, spłoszyły się na stromej drodze. W chwili, gdy sanie były w największym pędzie, konie wpadły na betonowy filar mostu. Skutki zderzenia były okropne. Jadąca saniami Weronika Tomaszewska poniosła śmierć na miejscu, pozostali: Kazimierz Szachowicz doznał złamania trzech żeber, Bolesław Tomaszewski doznał potłuczenia rąk i nóg, Burec złamał rękę, siostra zaś jego, Burecówna, złamała rękę i doznała potłuczenia boku. Ofiary wypadku wskutek odniosionych ran straciły przytomność i dopiero przejeżdżający tamtędy wieśniacy przyszli im z pomocą, przewożąc ofiary do pobliskiej wsi, gdyż na mrozie groziła im śmierć.

Walka kupców z wilkami. Z Wilna donoszą: Na jadących kupców Abrahama Kapłana i Zajdszhura Abela między Rakowem a Iwieńcem napadło w lesie stado wilków. Podczas pościgu za uciekającymi jeden z wilków skoczył na sanie i rzucił się na Kapłana, ten jednak laską uderzył go po łbie, zaś jego towarzysz wpakował mu w bok nóż, dzięki czemu napadnięci zdołali uniknąć niechybnej śmierci. Zaznaczyć należy, iż Kapłan po przyjeździe do Iwieńca położył się do łóżka i ciężko zachorował, gdyż wskutek przestrachu odebrało mu mowę.

Donoszą również o przygodzie tamtejszego wieśniaka z wilkiem, który jadąc w powrotnej drodze z jarmarku został przez dziką bestję opadnięty.



To z przodu koniowi, to z tyłu na wóz, raz po raz wyskakiwał — za każdym jednak razem jakoś nie udało mu się silnie uczepić konia, ani dostać się do wieśniaka. Spróbował wreszcie poraz ostatni szczęścia, a skoczywszy koniowi ku szyji wpadł pod kopyta, poczem przejechały go koła wozu. Chłopek, zabrawszy na wóz zabitą bestję z tryumfem przyjechał do swej wioski.

Egzotyczne gaje na kresach. W nowej, pięknej książce Stanisława Dzikowskiego p. t. „Egzotyczna Polska" znajdujemy wysoce interesujący opis mało znanej osobliwości, mianowicie jedynych w Europie gajów azalij, rosnących na wielkich przestrzeniach powiatu Kostopolskiego na Wołyniu. Jest to „asalea pontica", zwana przez lud miejscowy „draposztanem". Gaje azaljowe pojawiają się koło Słucza, w gminie ludwipolskiej i ciągną się pasem 8 kilometrów szerokim, aż do Rosji sowieckiej pod Zwiahel. Tworzą one kompleksy, obejmujące po kilkanaście dziesięcin i krzewią się najbardziej na ziemi po wyschniętem bagnie, wśród gąszczy lasów i cienistych zagajników. Dorastają 2 metrów wysokości, a wśród lata pojawia się na nich kwiat żółtto-pomarańczowy o cztero-centymetrowej średnicy. Wówczas od gajów azaljowych unosi się i płynie daleko słodki, upajający zapach — zapach zdradziecki, przed którym uciekają zarówno ludzie jak i zwierzęta. Pustka panuje dokoła egzotycznych kwiatów. Ptaki nie latają tamtędy, ani owady, ani ludzie nie pędzą bydła, bo wszystko, co dostanie się w zaciąg niesamowitej woni, popada w bezwład i usypia. Nie budzą się nawet węże, skoro śliską piersią dotkną „draposztanu". Gaje azaljowe rosną od niepamiętnych czasów na tej samej przestrzeni, nie zmniejszają się, ani rozszerzają swojego władania. Ile razy próbowano je przesadzać, zamierały natychmiast, oderwane od ziemi bagnistej. Żyją tylko wówczas, kiedy wykopie się krzew wraz z ziemią, na której rosną.

Autor nadmienia, że trudno jest wytłómaczyć, w jaki sposób mógł się pojawić na Polesiu ten kwiat gorącego słońca. Wedle miejscowego podania, przynieśli go ze sobą najeźdźcy tatarscy wraz z pożywieniem dla swoich koni. Ziarno, zaniesione przypadkowo z odległej krainy, padło w ziemię podatną, zakiełkowało, wzrosło i rozkrzewiło się. I oto co roku zakwita żółty kwiat i wśród krainy bezludnej napoły, wśród nieurodzajnych piasków i melancholijnych mokradeł, roznieca czarodziejski, odurzający zapach egzotycznych krajów.

Głodowa śmierć rosyjskiego satrapy. W Bernie Morawskiem zmarł były pułkownik rosyjski Galiński, który był komendantem Stanisławowa w czasie inwazji w 1914 r. Pułkownik Galiński, jako komendant miasta znęcał się okropnie nad ludnością cywilną, a jego „zasługą" było wywiezienie w głąb Rosji około 50 zamożniejszych Stanisławowian jako zakładników. Po przewrocie w Rosji pułk. Galiński przeniósł się do Niemiec, skąd następnie wyjechał do Czechosłowacji. Na emigracji imał się wszelkich zawodów, ostatnio założył w Bernie Morawskiem małą mleczarnię, która nie cieszyła się powodzeniem, skutkiem czego w krótkim czasie zbankrutował. U schyłku swego życia stał się nędzarzem, mieszkał na poddaszu starej rudery, trawiony ciężką chorobą płuc i nędzą. Zmarł on w nocy z osłabienia, spowodowanego głodem, a o śmierci jego dowiedzieli się sąsiedzi dopiero następnego dnia. I na satrapie tym sprawdza się znów przysłowie, że Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Za zbrodnie, popełnione na niewinnych ofiarach, ciężko go Bóg ukarał.

Ucieczka z bolszewickiego „raju". Wskutek zamarznięcia rzek granicznych w ostatnich tygodniach zanotowano zbiorowe ucieczki z Białorusi sowieckiej. W rejonie Rubieżewicz i Stołpców przeszło na stronę polską 34 osoby, na odcinku Wilejka-Raduszkowice Iwieniec 14 i na odcinku granicznym Dzisna poprzez Dźwinę zbiegło do Polski 9 włościan. Wielu z uchodźców ma poodmrażane ręce i nogi. W czasie jednej z ucieczek zastrzelony został przez straż bolszewicką Ojciec Łukasz, duchowny prawosławny z parafji borysowskiej.

Widmo głodu w Rosji. Jak donoszą z Rosji, kraj ten stoi w obliczu zbliżającego się głodu. Przyczyną tego jest nadmierny wywóz zboża za granicę. Władze sowieckie zarządziły już zmniejszenie racji chleba dla ludności.

Zemsta rozwiedzionego męża. W pewnym domu mieszkalnym w Goeteborgu w Szwecji wydarzył się wybuch, skutkiem czego część budynku uległa zniszczeniu. Z pod gruzów wydobyto 3 zabitych i 7 ciężko rannych, z których jedna osoba zmarła wkrótce po przewiezieniu do szpitala. Jak ustalono, wybuch nastąpił wskutek zamachu, dokonanego przez pewnego robotnika murarskiego. Chciał on na swej rozwiedzionej żonie dokonać zemsty i w tym celu wrzucił przez okno do jej pokoju bombę. Wybuch był tak gwałtowny, że wyrwał ścianę budynku na całej szerokości. Sprawcę zamachu odnaleziono w parę godzin później bez życia, powieszonego na drzewie w pobliskim lasku.

Potworny czyn opilca. Czterdziestoletni robotnik fabryczny w Wiedniu, Leopold Hoffmann, przyszedłszy do domu w stanie nietrzeźwym, wszczął kłótnię z żoną. W czasie sprzeczki przebudziło się dziecko w kołysce i zaczęło płakać. Niepoczytalny pijaczyna wziął dziecko z kołyski, rzekomo aby je uspokoić, ale zatoczył się z niem i wywrócił na rozpaloną blachę kuchenną. Dziecko odniosło straszliwe oparzenia, wskutek których umarło. Matce grozi obłąkanie z powodu wielkiej rozpaczy po stracie dziecka.

Zasypani przez lawinę w kościele. W klasztorze św. Jura w Slawonji wydarzył się niezwykły wypadek. W chwili, kiedy część mieszkańców wsi znajdowała się w kościele, gdzie odbywało się nabożeństwo żałobne i egzekwie, spadła ogromna lawina i zasypała kościół. Na szczęście silne mury kościoła, pochodzącego z średniowiecza, wytrzymały napór śniegu. Po dziesięciu godzinach gorączkowej pracy odkopano zasypanych w kościele.

Pojedynek ojca z synami. Krwawa tragedja rozegrała się w hiszpańskiej wiosce Lalin wśród tamtejszych chłopów. Mieszkaniec tej wsi, rolnik hiszpański, który owdowiał przed laty, ożenił się niedawno poraz wtóry. Na tle tego małżeństwa wybuchła nienawiść między nim a dwoma jego dorosłymi synami z pierwszego małżeństwa. Synowie ci obawiali się, że powtórne małżeństwo stanie się przyczyną ich wydziedziczenia. Onegdaj, gdy Hiszpan pracował w polu, przybiegła do niego żona i przyniosła mu nabitą strzelbę. Oświadczyła, że dwaj jego synowie postanowili go zabić. I istotnie w chwilę potem zjawili się na polu dwaj synowie. Jeden uzbrojony był w strzelbę, drugi w kosę. Ojciec i syn strzelili do siebie z strzelb. Syn padł trupem na ziemię. Drugi syn, zobaczywszy co się stało, rzucił się na ojca z kosą i zabił go dwoma potężnemi ciosami, a potem uciekł w pobliskie góry. Żandarmarja rozpoczęła pościg za mordercą.

Nowa republika. We czwartek 18 b. m. została ogłoszona nowa republika. Jest nią Mandżurja, do której przyłączono część Mongolji oraz prowincję chińską Jehol. Nowa republika przewyższa jeden miljon kilometrów kwadratowych obszaru i liczy ponad 30 miljonów mieszkańców. Nie trzeba chyba dodawać, że nowa ta republika będzie zostawała pod wyłącznym wpływem Japonji.

Przedwczesna wiosna w Ameryce. Po dość ciepłych miesiącach grudniu i styczniu u nas w lutym bardziej się oziębiło, a nieraz dokuczał nawet silny mróz. Inaczej jest w Ameryce, a szczególniej w Kanadzie, gdzie panuje niemal w calej pełni zupełna wiosna. Na południe od Ontario kwiaty kwitną w ogrodach, na polach zieleni się, jak w maju, a nawet na targach sprzedają zielony groszek ogrodowy. Zwykle o tej porze leży tam gruby śnieg.

Bezczelność amerykańskich bandytów. Do najsłynniejszych band w Chicago należy tak zwana „Banda siedmiu", której specjalnością jest porywanie zamożnych ludzi celem wymuszenia następnie bogatych okupów. Opowiadają, że członkowie bandy zarobili w ten sposób w ciągu ostatnich dwóch lat przeszło miljon dolarów. Zdawało się, że wskutek energicznych wystąpień policji, banda zaprzestała działalności, ponieważ w ciągu ostatnich miesięcy nie zanotowano żadnego napadu. Ale teraz znów mieszkańcy Chicago zaalarmowani zostali nowem ich dziełem. Podczas wycieczki samochodowej w okolicy miasta został uprowadzony fabrykant Howard Woolverton wraz z swoją żoną. Zawiadomiono krewnych pary małżeńskiej, że tylko za okupem w wysokości 50 tysięcy dolarów zostaną oni wypuszczeni na wolność, w przeciwnym razie czeka małżonków śmierć. Policji chicagowskiej znów dano sposobność do popisu, tymczasem krewni starają się o wyznaczony okup.

Numera początkowe posiadamy w zapasie. Można zamawiać w sklepach, w których Czytelnicy „Rolę" kupują lub w Administracji „Roli" nadsyłając w liście znaczki pocztowe po 30 gr. za numer.

RZECZY CIEKAWE.

Gdynia.

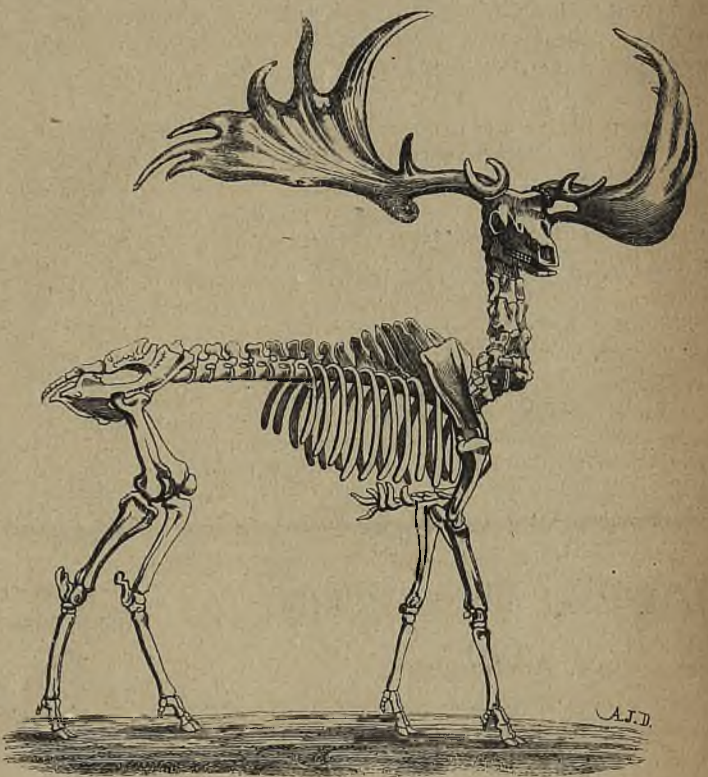
Polska, nie mając zaufania do polityki Wolnego miasta Gdańska i chcąc uniezależnić się od niego, wybudowała własny port wojenny i port rybacki. — Port ten ma 11 m. głębokości, a przestrzeń portowa jest przeznaczona dla 2.5 milj. ton towarów rocznie. Przed dziesięciu laty, była to mała i uboga wioska rybacka, dziś wznosi się tam miasto portowe, liczące około 40 tys. mieszkańców. Budowa portu została rozpoczęta w roku 1921. Wybudowano dwie olbrzymie tamy, ciągnące się w morze około 550 m. Następnie wybudowano wieżę ciśnień dla wodociągu portowego, który zaopatruje okręty w słodką wodę dla kotłów. Na każdym kroku widać gorączkową pracę tak, że z dnia na dzień widać coraz stosowniejsze urządzenia. Założony w Gdyni instytut morski, prowadzi poszukiwania łowisk rybnych, na pełnem morzu i dzięki temuż, rybacy poraz pierwszy w tym roku wypłynęli na pełne morze i osiągnęli pomyślny połów. Rozwój ten obudza w Gdańsku zawiść i niepokój. W stosunku do Gdańska, Gdynia jest i będzie jeszcze przez dłuższy czas poważnym portem pomocniczym. Rozwój Gdyni będzie się odbywał równolegle z naturalnym przyrostem handlu zagranicznego Polski. Pomimo szybkiego rozwoju Gdynia pod każdym względem nie dorównuje Gdańskowi, który odgrywa wielką rolę w Europie, lecz miejmy nadzieję, że z biegiem czasu, gdy poprawią się stosunki gospodarcze, Gdynia stanie w szeregu wszystkich większych europejskich portów. *Stefan Kulis.*

Piszczałka.

Jedną z milszych przyjemności na wsi na wiosnę jest własnej roboty piszczałka. Bo któż nie lubi gwizdać i naśladować ptaki? A to tak łatwo, bo można i na kluczu, o ile ma dziurkę, można i na piórku, o ile jest obcięte poziomo. Jednakże piszczałka, zrobiona z wierzbiny, a lepiej jeszcze z trzciny, może być prawdziwą piszczałką lub fletem, jakie mają muzykanci w orkiestrze. Z trzciny należy zdjąć do połowy warstwę zewnętrzną, twardą, tak ostrożnie, aby nie naruszyć wewnętrznej błonki cienkiej. Trzcina wyda takie samo brzęczenie, kiedy gramy na grzebieniu. W łodydze robi się nacięcie podłużne. Wystarczy nam wiedzieć, że dźwięk powstaje skutkiem szybkich drgań jakiegoś ciała sprężystego. W trzcinie takiem ciałem sprężystem jest właśnie cienka błonka, która jest bardzo szybko poruszana przez prąd powietrza, wydmuchiwanego z ust. To drganie błonki udziela się cząsteczkom powietrza, rozszerza się coraz dalej, aż dochodzi jak fala do naszego ucha. Im piszczałka jest szersza i dłuższa, tem wydaje ton grubszy, im piszczałka jest krótsza i cieńsza, tem wyższy wydaje ton. Już od bardzo dawnych czasów piszczałka była ludziom znana. W wiekach średnich nazywano człowieka wygrywającego na piszczałce „piszczykiem“ lub „fajfrem“. W wiekach średnich w krajach zachodnich takich grajków było tak wiele, że w większych miastach łączyli się oni w korporacje cechowe, na wzór rzemieślników. Korporacje te miały obowiązek przygrywać po kościołach, zamkach w czasie wielkich uroczystości, wesel, pogrzebów i pochodów. Później dopiero zastąpiły je kapele miejskie. Tak też było i w Polsce, a przedewszystkiem w epoce Jagiellonów powstawały koła „piszczyków“, bez których nie mogły się obejść uroczystości królewskie.

Zwierzęta przedpotopowe.

Jak to już zaznaczaliśmy niejednokrotnie, w dawnych czasach żyły na ziemi naszej zwierzęta, jakich już dziś na całej kuli ziemskiej spotkać nie można. Z niektórych jednak w głębi ziemi zachowały się bądź to oddzielne kości, bądź całe szkielety, z których poznajemy, jak te zwierzęta wyglądały. Jeżeli w ziemi przechował się cały szkielet, to wygląd takiego zwierzęcia nietrudno sobie uzmysłowić, ale gdy tylko zdołano odkopać poszczególne szęści, to trudniej dojść do wniosku, jakie kształty posiadało owo zwierzę. Dopiero uczeni składają z poszczególnych części całość i przechowują ją w rozmaitych muzeach.



W poprzednich numerach „Roli“ podawaliśmy podobizny takich zwierząt przedpotopowych, które już dziś zupełnie na świecie nie istnieją. Dziś podajemy jeszcze jedną podobiznę szkieletu zwierzęcia, zbliżonego bardzo swym wyglądem do łosia. Różni się on od łosia przedewszystkiem tem, że olbrzymie jego rogi nie rozgałęziają się zaraz przy nasadzie tak, jak u łosia, ale dopiero w połowie swej długości. Wspaniałe jego rogi były wielką ozdobą tego zwierzęcia i może być, że powodem końca jego istnienia. Rogi te utrudniały mu zapewne ucieczkę w gęstych borach i oddawały na pastwę licznych nieprzyjaciół.

Środki płatnicze u dzikich.

Przy wzajemnej wymianie dóbr posługują się ludy żyjące w stanie pierwotnym różnemi produktami, mającemi wartość specjalną z jakiegoś względu.

I tak na wyspach Oceanji przy kupnie kobiet, niewolników, łodzi i innych tym podobnych objektów, powszechnym środkiem płatniczym są muszle nawleczone na włókna rotangu. Na Nowej Gwinei do tego celu służą kły zabitych dzików. W Polinezji „pieniądzmi“ są kolorowe tkaniny „tapa“, wyrabiane z drzewa morwowego, podczas gdy w Afryce używają do tego celu kawałki bawełnianych materji.

Mieszkańcy Nowej Irlandji używają przy kupnie nanizanych na sznurki naprzemian muszli perłopława, pereł, psich i świńskich zębów.

W Afryce do cennych środków płatniczych zaliczane bywają szklane perły. Anamici francuskich Indochin kochają się w metalowych krążkach, zwykle cynowych.

W Tybecie, Mongolji i na Syberji „kupują" prasowanemi kostkami herbaty. W Meksyku „płacono" strączkami kakaowemi do niedawna zaś blokami soli w niektórych częściach Afryki. Podobnie używano niegdyś jako pieniędzy haczyków do łapania ryb i żelaznych gwoździ na Alasce i w Szkocji.

Dziwaczną monetą olbrzymi kilkusetkilogramowy głaz na wyspie Jap w Mikronezji.

Osobliwym również rodzajem pieniądza na wyspach Santa Cruz w Melanezji jest zbiór pierścieni, uwitych z barwnych piór papuzich, obwiązanych gołębiem pierzem. „Pieniądz" ten używany bywa tam głównie przy zakupnie żon.

Czesław Wośkowski.

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

Pp.: **Marja Waller** w Rz.: Było już złożone w druku, wskutek jednak życzenia wycofaliśmy w ostatniej chwili. Dlaczego tak czarno patrzy Pani w przyszłość, ja pomimo wszystko wierzę w lepsze jutro. Prawda, że teraz wiele jednostek złych wypływa na wierzch, ale to się skończy i ludzie uczciwi wezmą górę. Złości ludzkiej doznałem i ja na sobie w ostatnich czasach, gdy pewien człowiek, aby sobie zapewnić stanowisko, postarał się o wyrządzenie mi ciężkiej krzywdy. Wierzę jednak, że czyn ten, może w najbliższej przyszłości, nie wyjdzie mu na pożytek. „Tragedja pana Jana" zupełnie dobra, natomiast „Ot takich sobie słów kilkoro" byłoby niezrozumiałe dla wielu czytelników „Roli". Ciekawym bardzo na ową powieść, rozpoczętą z p. H. Na jaki temat? **Antoni Poloczek** w P.: Powiastkę o Julisi przeczytałem z prawdziwem wzruszeniem; mam nadzieję, że i czytelnikom „Roli" również się spodoba. Nie wiem tylko, kiedy na jej zbyt duże rozmiary znajdę na nią miejsce. Ale będę się starał znaleźć jak najprędzej, gdyż zasługuje na to. Dobre są również obydwie humoreski. Natomist „Straszne wspomnienia" mniej się udały. Na przyszłość proszę bardzo pisać po jednej stronie papieru i przez jego całą szerokość, gdyż tak, jak obecnie, część utworów może przepaść. List był zamało opłacony, więc Administracja dopłaciła 60 groszy. Złożyło się szczęśliwie, gdyż zwykle Administracja listów nieopłaconych lub zamało opłaconych nie przyjmuje. **Jan Pelczar** w W. S.: O Waszyngtonie zamieścimy w jednym z najbliższych numerów. **Tadeusz Nitka** w Rz.: Wskutek prośby interesowanego nie zamieszczamy, w każdym razie za wiadomość dziękujemy, gdyż sprawiła ona nam prawdziwą przyjemność. **Rud. Gaw.** w Gol.: „Mało odwagi" nadaje się do gazetki dla młodzieży; humoreska p. t. „Grzechotka jako świadek" była już w wielu gazetach drukowana. **Michał Kempys** w B.: „Pewnego wieczoru", jako rzecz na czasie, daliśmy zaraz do druku; „Szczęście włóczęgi" pójdzie później"; „W szaloną noc" zachowamy do numeru noworocznego. **Eleonora Furmanikowa** w K.: Utwory, pisane białym wierszem, nie nadają się do „Roli". Nie zamieścimy. **Jerzy Klon** w K.: Nadesłane wierszyki posiadają treść miłą, ale forma ich jeszcze nie opanowana. Nie zamieścimy. **H. Tadanier** w L.: Obydwie zagadki zbyt trudne do rozwiązania. Nie zamieścimy. **Jan Kot** w R.: Jeżeli Pan chce z całą pewnością otrzymać rasową matkę pszczelą, to niech się Pan już teraz zwróci do p. Piwowarskiego w Miechowie, gdyż wysyła on je w takim następstwie, w jakiem otrzymuje zgłoszenia. W naszym klimacie wielkiej ilości matek na zapas hodować nie można. **Michał Mikoś** w L.: Po węzę sztuczną niech się Pan zwróci do p. F. Radomskiego, Klewań 2. Zeszłego roku sprowadziłem stamtąd węzę i byłem z niej zupełnie zadowolony. **Jan Kuchta** w L.: Jeżeli sąsiedzi niszczą Panu „Rolę", niech im Pan nie pożycza. Najlepiej, gdy tak lubią ją czytać, niech sobie każdy z nich zaprenumeruje dla siebie. **Michał Kapałka** w T.: Kiedy się skończy, dokładnie nie możemy oznaczyć, ale rychło końca niech się Pan nie spodziewa. **Stefan Partyn** w D.: Do końca roku brak 9 zł.

Zagadki do nagrody.

1. Arytmogryf.



Litery środkowe czytane z góry do dołu dadzą imię i nazwisko czytelnika „Roli" autora powyższego arytmogryfu.

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Roślina. 3) Krzew. 4. Miasto polskie. 5) Rzeka amerykańska 6) Przyrząd na skręcie. 7) Państwo. 8) Smar. 9) Spółgłoska.

2. Szarady.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Prosi Kaśka Bzdurę, gdy idzie do miasta,
By jej kupił całość, Ciekawa niewiasta!
Dowodzi mu, że wstecz pierwszy, wstecz [drugi
Gości między nimi, nawet już czas długi.
A druga i pierwsza to miasto nielada,
W ojczyźnie całości. Pieczone się jada.

II.

(Ułożył Wł. Sowiźrał z J.).

Pierwszej drugiej na zupę używamy,
Czy chleb drogi, czy trzeci i drugi,
Zaś pierwszego trzeciego, gdy wio! wołacie,
Jest on ciężki, silny i długi.
Całość to człowiek z kraju wypędzony,
Bo w politykę zapuszczał zagony.

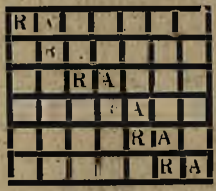
III.

(Ułożył Jan Liwosz z S.).

Pierwsze głoska jest w alfabecie,
A zaś przyimkiem jest trzecie,
Drugie wspak, pierwsze określa czas,
(O tem już pewnie wie każdy z was).
Całość to plac ni mały ni duży,
Na popisy atletyczne służy.

3. Uzupełnianka.

(Ułożył Antoni Poloczek z P.).



Przyrząd sportowy.
Krawędź, kres.
Broń.
Danie na obiad.
Szlachcic japoński.
Lampart azjatycki

4. Bilety wizytowe.

(Ułożył Br. Kudła z T.).

I.

JAN KODMET

II.

ADAM WYLSZOSZYL

Odczytać zawód tych osób.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dn. 4 marca br.

Znaczenie zagadek z Nru 7 „Roli": 1. Logogryf: Bez pracy niema kołaczy. 2. Szarady: I. Pojednanie, II. Bawełna, III. Kalina. 3. Metamorfoza: Jawa—kawa—kara—kora—kort.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Czesław Wośkowski z U., Teofil Burman z K., Jan Stypuła z W., Michalina Milska z O., Antoni Poloczek z P.

Nagrody wylosowali pp.: Antoni Poloczek z P. i Czesław Wośkowski z U.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Obrona.

Przed sądem nowojorskim staje oskarżony o sprzedawanie wódki pewien obywatel z czerwonym nosem. Obrońca zwraca się do sędziów:

— Zechciejcie panowie obejrzeć nos oskarżonego.

Sędziowie czynią to bardzo skrupulatnie.

— A teraz panowie sędziowie, czy możecie uwierzyć, że człowiek z takim nosem sprzedaje wódkę, zamiast ją sam wypić?

Oskarżony został uniewinniony.



Ciekawy.

— Ciociu, czy twój ptaszek ładnie śpiewa?

— Ależ ja nie mam ptaszka, moje dziecko.

— Tak? To ciekaw jestem, czemu tata wczoraj powiedział, że ciocia ma ptaszki w głowie.



W szkole.

— Dreptalski, powiedz mi, do jakich zwierząt się zalicza kot?

— Do nieopodatkowanych, proszę pana profesora.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 28 lutego b. r.

Pszenica	26·50—27·00	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto .	24·75—25·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	21·50—22·00	Koniczyna nasienn. czer.	230·00—250·00
Jęczmień .	21·50—22·00	Mąka żytnia	40·50—41·00
Fasola biała	21·00—24·00	Mąka pszen.	45·50—46·50
Groch zwyk.	27·00—29·00	Otręby pszen.	14·50—15·00
Siano słodk.	12·00—13·00	Otręby żytnie	14·50—15·00
Łubin żółty	19·50—20·50	Mąka czerw.	18·00—19·00
Koniczpastew.	15·00—17·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 23 lutego b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·00 do 1·20 zł.	Nierogaciznę lżej wagi	od 1·40 do 1·50

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów, prosimy o podawanie nam także dawnego adresu, pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy pierwotny adres mogli wykreślić, a nowy wpisać.